Nr. 271. Lwów — Piątek dnia 26 Listopada. Rok 1897.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech 1 „ 80 „
w innych państwach 2 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo tłustym petitem po . . . 3 „
tłustym garmondem po . . . 5 „
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . 6 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Nekrologia . . . 25 ct.
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje [illegible] ul. Karola Ludwika l. [illegible]
Ogłoszenia nad przeglądem politycznym 50 ct.

Dziś: św. Konrada M. — Fylypa Ap
Jutro: św. Wal. i Wirg. — Hurya i Sam

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o 7 m. 29
Zachód „ „ 4 „ 5

Długość dnia g. 8 m. 36
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 25 listopada.

W sprawie ks. Simona otrzymaliśmy następujące dokładne wyjaśnienie: „Ci nieliczni proboszczowie w Mińszczyźnie, którzy zaprowadzili byli rosyjski język w nabożeństwie dodatkowem, nie zastosowali się do okólnika konsystorza petersburskiego o używaniu łaciny w tem nabożeństwie, lecz udali się do konsystorza z zapytaniem, w jakim języku mają być udzielane Sakramenty chrztu i małżeństwa. Trzeba zaś wiedzieć, że ta kwestya zawsze pozostawała sporną między Stolicą Apostolską a rządem. Jeszcze Papież Pius IX orzekł, że nawet w tych razach, w których okoliczności zmuszą zastąpić język ludności łaciną, tam przy udzielaniu Sakramentów chrztu i małżeństwa musi bezwarunkowo być utrzymany język miejscowej ludności, albowiem używanie w tych wypadkach innej mowy, niezrozumiałej dla osób świeckich, które muszą odpowiadać kapłanowi byłoby lekceważeniem Św. Tajemnic. Na to rząd rosyjski nigdy się nie zgodził, a Stolica Apostolska nigdy od tego nie odstąpiła. Z tego powodu ks. Simon odpowiedział proboszczom mińskim, że chociaż zgodnie z ostatnim układem rządu z Papieżem, ma być odtąd łacińskie nabożeństwo dodatkowe, to jednak Sakramenta chrztu i małżeństwa muszą być udzielane w języku miejscowej ludności, to znaczy po polsku. Proboszczowie donieśli o tem władzy administracyjnej, która ujrzała w tem przekroczenie ze strony ks. Simona. Natychmiast odebrano mu rektorat akademii duchownej petersburskiej i zawieszono go w urzędowaniu, ale wszelkie dalsze postępowanie odłożono do powrotu cesarza Mikołaja II z Darmstadtu. Wezwany do powrotu ks arcybiskup Kozłowski zmuszany był nader natarczywie do odwołania polecenia ks. Simona, lecz oparł się wszelkim naleganiom, pozostawiając rządowi porozumienie się w tej sprawie z Papieżem. Kiedy cesarz Mikołaj powrócił, przedstawiono mu, że ks. Simon wyłamał się z pod ukazu z r. 1891 o cenzurze rządowej wszelkich okólników konsystoryalnych i sprawę sporną, nieobjętą układem z Rzymem, rozstrzygnął samowolnie, za co, wedle dotychczasowej praktyki, zasługuje na usunięcie od wszelkich urzędów, pozbawienie pensyi i internowanie wewnątrz Rosyi. Utrzymują w Petersburgu, że cesarz uznał niemożliwość udzielania dwóch tak ważnych Sakramentów w języku niezrozumiałym dla tych, którzy muszą odpowiadać kapłanowi, i niechętnie się wyraził o tem, że w ogóle taką sprawę podniesiono, musiał jednak załatwić ją podług litery przepisów. Ks. Simon pozostał sufraganem archidyecezyi, lecz nominacya jego na biskupa płockiego odpadła; zachowano mu całą pensyę i polecono mu wyjechać do Odesy na czas nieokreślony.“

Bardzo opryskliwie wystąpił przeciw Polakom przyboczny organ wice-prezydenta gabinetu pruskiego i zarazem ministra finansów p. Miquela, *Berliner Politische Nachrichten.* Pismo to dowodzi, że ton gazet polskich stał się w ostatnich czasach jeszcze bardziej zaczepny, niż zwykle, a ponieważ w ogóle Polacy zaczęli się zachowywać bardzo wyzywająco, przeto widocznie szykują się oni do jakiejś walki z państwem. Tu i ówdzie na zgromadzeniach, w rozmowach prywatnych z Niemcami i w artykułach używają Polacy wyrazów, zawierających wprost zdradę stanu i nadzieję na rozbicie państwa. Rządowi wiadomo, że Polacy nieraz mówią o Prusach, jako o państwie, do którego należą tylko czasowo. Odzywają się nawet z tem, że przy sposobności pomogą rozbić państwo. W ogóle stali się niezmiernie zuchwali i przytem okazali w sposób niewątpliwy, że są zaklętymi wrogami państwa, któremu życzą zguby.

Tak prawi organ p. Miquela dość długo, powtarzając po kilka razy te same zarzuty, jakby dlatego, aby je mocniej wrazić w umysł czytelnika. Zgoła nie możemy się domyśleć o jakich-to pismach polskich i o jakich zgromadzeniach mówi ten dziennik, a bardzo się dziwimy rządowi pruskiemu, że wiedząc o rozmowach i pogróżkach, zawierających zdradę stanu najwyższego rzędu, zaniedbał wezwać prokuratora do ścigania winnych. P. Miquel powinien wyprzeć się swego organu, który wie o zbrodniarzach, a o nich nie doniósł i przez to stał się współwinnym zbrodni. W ogóle należy tę sprawę oddać do sądu, a nie zadawalać się piorunowaniem na Polaków w półurzędowym dzienniku. Jeśli rząd wie o zdrajcach, a nie wzywa pomocy sądów, to zaiste nie zasługuje na zaufanie obywateli. Albo też, jeśli półurzędowy dziennik prawi, że zdrada jest i że władza o tem doskonale wie, a pomimo tego winnych nie oddaje w ręce sprawiedliwości, to widocznie szerzy półurzędowy paszkwil, mając do tego jakiś powód, wysnuty z tak zwanej „moralności państwowej.“ Przypuszczamy, że tak właśnie jest w danym wypadku, bo oto co dalej piszą *Berl. Polit. Nachrichten:*

„Tak silny, zaczepny ruch Polaków, który w pierwszej linii zwraca się przeciw cesarstwu niemieckiemu, a w linii drugiej przeciw okolicom z ludnością mięszaną pod względem językowym i tam bezpośrednio grozi niemieckości dotkliwemi stratami, a nawet nasuwa na oczy niebezpieczeństwo rozbicia państwa, wywołuje poważne pytanie, ażali środki, którymi rząd już rozporządza, są rzeczywiście dostateczne do należytej opieki nad niemieckością. Jeżeli na to pytanie musi niewątpliwie nastąpić odpowiedź przecząca, to z tego wprost wynika konieczność obmyślenia bardziej energicznych środków obrony, a między tymi środkami pierwsze miejsce powinna zająć jędrniejsza wewnętrzna kolonizacya Poznańskiego i Prus Zachodnich“.

A więc o to chodzi! Hakatyści długo przekonywali, że komisya kolonizacyjna powinna otrzymać drugie sto milionów na wywłaszczenie Polaków z ziemi — i oto pan wice-prezydent gabinetu pruskiego i zarazem minister skarbu dał znać hakatystom, iż on, jako zastępca kanclerza w rządzie pruskim, a więc jako szef tego rządu, zgadza się z nimi, jako zaś minister skarbu, znajdzie na to pieniądze. Gołosłowne oskarżenie Polaków o zdradę potrzebne było tylko do uzasadnienia zgody rządowej na projekt hakatystów. Wilkowi zamącono wodę. Lecz doprawdy, w stosunkach z Polakami rząd pruski stanął już przed całym światem na tym stopniu szczerości, że mógł bez osłonek powtórzyć swoje „ausrotten!“

Na wiosnę będą ogólne wybory do parlamentu i do sejmu pruskiego. Z mnóstwa wskazówek sądzą w Niemczech, że obie te instytucye prawodawcze posiądą inną większość, stanowczo nieprzychylną junkierstwu, liberalizmowi, zaprawionemu bismarkowstwem, i hakatyzmowi. Trzeba tedy wyzyskać ostatnią sesyę, która wnet się zacznie, i uchwalić nowe antipolskie środki, bo ich potem już się nie zdobędzie, a więc jeszcze sto milionów i ustawę o wyłączności niemieckiego języka na zgromadzeniach. Konstytucye niemiecka i pruska są tak oryginalne, że ustaw uchwalonych przez dawny parlament czy sejm nie może znieść nowa izba, jeżeli na to rząd się nie zgodzi. Dowodem — kilkakrotne uchwały parlamentu, znoszące banicyę zakonów katolickich, a jednak niewykonywane przez rząd. Tak samo przyszły sejm nie potrafi cofnąć stu milionów dla komisyi kolonizacyjnej, więc chodzi tylko o to, żeby bodaj w ostatniej chwili hakatyzm dostał ten soczysty kęs. Organ p. Miquela zapowiedział, że ministeryum o to się postara, a junkrowie i liberałowie niech przygotują większość.

Po niewczasie wzburzyła się opinia w Anglii i Francyi z powodu opanowania przez Niemcy chińskiej zatoki Kiao-Czau. W obu tych krajach uderzono przedewszystkiem na własny rząd, że w takiej tajemnicy przed narodem trzymał ów przygotowujący się zabór. Nie może być, żeby gabinety nie wiedziały o niemieckim zamiarze, jeśli zaś wiedziały i troskliwie milczały, to był spisek dyplomacyi przeciw narodom. We Francyi wszystko jest popularne i bardzo podatne do agitacyi, co może się rozwijać na kanwie antiniemieckiej, więc panowie Méline i Hanotaux mają nielada kłopot. W Anglii rzeczywisty interes handlowy przemawia przeciw zaborowi przez Niemcy zatoki Kiao-Czau, bo przez to upadnie port szangayski, opanowany przez handel angielski. Kiao-Czau jest wybornym portem i leży bliżej Pekinu niż Szangay. Z tego powodu na politykę lorda Salisbury'ego, już od roku ostro krytykowaną, podniosły się jeszcze większe utyskiwania. Na zgromadzeniach kupieckich pouchwalano rezolucye do parlamentu o założenie protestu przeciw rozbiorowi Chin. Dopiero w skutek takiej agitacyi ogłoszono w dziennikach ministeryalnych w Paryżu i Londynie, że Niemcy zajęły Kiao-Czau tylko chwilowo, dla zmuszenia rządu pekińskiego do ukarania morderców niemieckiego misyonarza. Niktjednak nie wierzy, że Niemcy oddadzą to, co tak łatwo zagarnęły. W najlepszym razie potrwa ta okupacya długo, bo rząd berliński będzie wyszukiwał coraz to inne zarzuty. W Paryżu zapytano jeszcze, jakim w ogóle prawem Niemcy domagają się zadosyćuczynienia za zamordowanie misyonarza, kiedy na mocy traktatów jedna tylko Francya jest opiekunką katolików w Chinach. To już jest niedorzeczny zarzut, bo raz, że przecież Francya nie zażądała od Chin zadosyćuczynienia za mord popełniony na misyonarzu niemieckim i w ogóle nie opiekuje się katolikami nigdzie, a następnie, że Niemcy wystąpiły niekoniecznie dlatego, że zamordowany misyonarz był katolikiem, lecz że był obywatelem niemieckim.

Drugie wotum zaufania.

Piszą nam z Wiednia, 24 listopada:

Jak w komisyi delegacyi węgierskiej, tak też w austryackiej, hr. Gołuchowski otrzymał jednomyślne votum ufności. Rozprawy w komisyi austryackiej były nawet ciekawsze, niż w węgierskiej. Węgrzy tym razem poprzestali na krótkich dyplomatycznych deklaracyach, które można było sprowadzić pod taki mianownik: zgadzamy się na zbliżenie z Rosyą pod warunkiem, że na tem nie ucierpi trójprzymierze! Natomiast w delegacyjnym koncercie austryackim wczoraj odzywały się bardzo różne i sprzeczne tony, zanim w końcu zabrzmiał zgodny chorał zaufania.

Przedewszystkiem młodoczech Stransky wygłosił „panegiryk panslawistyczny“. Epigon dra Vaszatego zgodę z Rosyą wita radośnie jako kapitulacyę Austryi. Zdaniem Strańskyego, Austrya zerwała wszelkie tradycye swej dawnej polityki wschodniej, aby, jak to doradzali zawsze młodoczesi, pogodzić się z Rosyą i oddać pod jej wpływ narody półwyspu bałkańskiego, złączone z nią pokrewieństwem „narodowem“ (recte szczepowem) i religijnem.

Te wynurzenia dra Stranskyego cechujące zupełny brak taktu i dziwną jak na członka parlamentarnej większości niewstrzemięźliwość w antiaustryackim russofilizmie, wywołały donośne protestacye. Nawet kolega mówcy, dr. Kramarz, który ongi, w rozprawach nad traktatami handlowymi w r. 1894 wygłosił w Izbie poselskiej podobne poglądy, ale od tego czasu zrozumiał, że jako wiceprezydent Izby nie może mówić tak, jak mówił w czasie obstrukcyi młodoczeskiej, pośpieszył długim teoretyczno-politycznym wykładem zatrzeć fatalne wrażenie naiwnego pronuntiamento p. Strańskyego. Zastrzegł się także przeciwko wywodom Strańskyego, zwłaszcza o ile się zwracały przeciwko trójprzymierzu, inny wódz prawicy — baron Dipauli.

Ale najgruntowniej i w sposób prawdziwie polityczny dokonali koniecznej korektury dwaj nasi delegaci Popowski i hr. Dzieduszycki. Pierwszy nietylko od kilkunastu lat bez przerwy zasiada w delegacyi, lecz jak świadczą jego poważne rozprawy o polityce międzynarodowej, ogłaszane w *Przeglądzie Polskim*, sumiennie, *con amore* i z wyższą inteligencyą pracuje w tym fachu. P. Popowski przypomniał, że delegacye austryackie zgodnie z rządem, już w r. 1886 — w owej pamiętnej sesyi, obradującej pod wrażeniem strącenia pierwszego księcia Bułgaryi z tronu, agitacyjnej przejażdżki Kaulbarsa po Bułgaryi i kandydatury Mingrelczyka Dadiana na posadę rosyjskiego wielkorządzcy Bułgaryi — wygłosiły program: Samoistność i wolny rozwój państewek półwyspu bałkańskiego, wykluczenie specyalnego wpływu obcego mocarstwa. „Autonomiści“ młodoczescy wówczas przeciwnie unosili się sami jedni nad Kaulbarsem, Bułgarów, broniących swej autonomii, obrzucali obelgami, za protektoratem Rosyi nad Bułgaryą perorowali namiętniej, niż nawet dzienniki rosyjskie. Jeżeli teraz zważymy, że według oświadczeń hr. Gołuchowskiego, porozumienie z Rosyą przyszło do skutku na podstawie właśnie tego programu, który od r. 1886 wygłaszały delegacye austryacko-węgierskie, to łatwo ocenić niedorzeczność wynurzeń dr. Stanskyego, jakoby Austrya była się wyrzekła nagle swej dotychczasowej polityki, aby sobie przyswoić ową politykę młodoczeską z r. 1886!

Rosyi przynosi zaszczyt, że odstąpiła od niesprawiedliwego, zaborczego programu, który pragnęła urzeczywistnić w r. 1886 i w następnych latach. P. Popowski ten zwrot polityki rosyjskiej tłómaczy tem, że obecnie donioślejsze sprawy w Azyi wschodniej odwracają uwagę Rosyi od mniej ważnej kwestyi wschodniej — europejskiej. Możnaby zwrot tłómaczyć także zmianą tronu, indywidualnością nowego cara, okolicznością, że osobiście Mikołaj II nie czuje się równie angażowanym w kwestyi bułgarskiej, czarnogórskiej i t. d., jak jego ojciec i dziad. Bądź co bądź, nie może być na seryo mowy o tem, aby zbliżenie się z Rosyą oznaczało kapitulacyę Austryi. Właśnie na tem zasadza się wielka, uznawana powszechnie zasługa hr. Gołuchowskiego, że umiał przywrócić przyjazne stosunki z Rosyą, nie poświęcając żadnych żywotnych interesów monarchii, ani nawet programu, wygłaszanego od r. 1886 przez delegacye. P. Stranskyemu zaś nie można odmówić tej zasługi, że swym nieostrożnym „panegirykiem panslawistycznym“ przyczynił się znacznie do wyjaśnienia i skonstatowania owej prawdy.

Drugi ważny rezultat wczorajszych rozpraw tworzy dobitne skonstatowanie faktu, że zbliżenie się z Rosyą nie osłabia i nie znosi trójprzymierza. Osłabienie takie byłoby logicznem następstwem, gdyby owo zbliżenie pojmowano tak, jak p. Stransky. Ale oświadczenie delegatów Popowskiego, hr. Dzieduszyckiego, barona Dipaulego, nawet dr. Kramarza, który dawny antagonizm młodoczechów do trójprzymierza usiłował usunąć za pomocą rozumowania, że ten sojusz z czasem pozbył się dawnego, niby to zdrożnego charakteru, wykazały najdobitniej, że najwyższa parlamentarna reprezentacya monarchii stanowczo obstaje przy trójprzymierzu. Wczorajsze dodatkowe oświadczenia hr. Gołuchowskiego usunęły w tym względzie wszelką wątpliwość. Jeżeli więc z pewnych oznak możnaby wnosić, że w Niemczech obudziły się pewne podejrzenia, to przebieg wczorajszego posiedzenia komisyi delegacyjnej wykazuje najdokładniej, jak bardzo są niesłuszne i pozbawione realnej podstawy. Zgoda z Rosyą coraz wyraźniej przedstawia się nie jako antiteza trójprzymierza, lecz jako jego dopełnienie.

Delegaci niemieccy także wczoraj wypowiadali głośno swe narodowe sympatye dla sojuszu z Niemcami. Rumun Lupul z największem zadowoleniem witał wytworzenie się przyjaznego stosunku z Rumunią. Gdyby był zabrał głos który z 5 delegatów włoskich, byłby zapewne szczególny nacisk kładł na sojusz z Włochami. A gdyby obok Austryi istniała samodzielna Polska, delegat polski witałby z zadowoleniem sojusz Austryi z Polską. To jest rzeczą naturalną i godziwą. Nie można żadnemu narodowi zabraniać sympatyi dla swych współ-rodaków, chociaż obcokrajowców. Byle tylko te sympatye pozostawały zawsze w ramach ogólnego interesu państwowego. Bo, jak słusznie zauważył wczoraj hr. Dzieduszycki, a przed kilkunastu laty hr Andrassy, w państwie, złożonem z tak licznych i różnych narodów, jak Austro-Węgry, zdrowa i skuteczna polityka stałaby się wprost niemożliwą, gdyby miała być zawisłą od sprzecznych sympatyi lub antypatyi pojedyńczych narodów. A potem jeszcze jedno — *ad vocem* Stranskyego. Sympatye Niemców dla Niemców, Polaków dla Polaków, Włochów dla Włochów, Rumunów dla Rumunów, Serbów dla Serbów itd. — są naturalne, godziwe, normalne bo opierają się na niczem niezatartej identyczności narodowej. Ale sympatye szczepowe, oparte na fikcyi etnograficznej, pozbawione nieodzownego narodowego kryteryum tożsamości języka, cywilizacyi i rozwoju historycznego, są kombinacyą sztuczną, która w stosunkach politycznych, jak każdy fałsz, może sprowadzić tylko zamieszanie i zawody.

Korespondencye.

Poznań w listopadzie.

W drugiej połowie stycznia 1898 r. rozpocznie się nowa a zarazem ostatnia w bieżącej kadencyi sesya sejmu pruskiego, na przyszły rok bowiem przypadają ponowne wybory tak posłów do sejmu pruskiego, jak do parlamentu niemieckiego. Kampania wyborcza zapowiada się jako bardzo zacięta a pierwsze strzały tyralierskie już padają. Widoki nasze co do wyniku tej kampanii są dość pomyślne, a przedstawiają się one w następujący sposób.

Przedewszystkiem co do Polaków samych, to istnieją wśród nich dwa stronnictwa: jedno tzw. konserwatywne, drugie ludowe. Dzięki długiej i systematycznej agitacyi, stronnictwo ludowe ma niejakie szanse w samym Poznaniu, i tu rozegra się między obozem demokratycznym a umiarkowanym dość namiętna walka; można jednak żywić nadzieję, że zaciekłość stronnicza nie posunie się aż do zapoznania i zaprzedania najświętszych interesów narodowych. Zresztą czy i jak się ta walka rozegra, to zależeć będzie od osobistości, których kandydatury się wynurzą. Na prowincyi umiarkowani zdają się mieć zapewnioną znaczną większość głosów, tam bowiem ludność wiejska trzyma się niezłomnie przyrodzonych swych kierowników: przedstawicieli większej własności ziemskiej i duchowieństwa, i nie daje się przez szumne lecz pozbawione treści frazesy sprowadzić na manowce. Wogóle dodać trzeba, że istnieją u nas dwa rodzaje ruchu ludowego. Pierwszym jest ten prąd ludowy, na którego czele stali mężowie o wielkiej do całego narodu miłości, jak Mielżyński, dr. Marcinkowski, Libelt i inni, ten prąd, którego owocami pozytywnymi są takie Towarzystwa, jak „Towarzystwo naukowej pomocy“, „Czytelnie ludowe“, „Kółka rolnicze“ itd. Zdemokratyzował on spo-

---

35)

PO ZWYCIĘSTWIE

POWIEŚĆ

przez

IRENĘ MROZOWICKĄ.

(Ciąg dalszy).

Stefa zanadto była przyzwyczajoną do codziennego obcowania z mężczyznami, żeby uczucia podobne wrażeniom Ewy, mogły choćby przelotnie wstrząsnąć jej nerwami. Zygmunt wydawał jej się miły i piękny, stokroć milszy i piękniejszy od wszystkich, ale ręka jej dotykająca jego ramienia nie drżała, i gdy niekiedy pochylał się ku niej, robiąc przyciszonym głosem jakąś uwagę, nie rumieniła się i nie cofała przed nim, lecz odpowiadała mu spokojnym, życzliwym uśmiechem.

W loży Kłopotkiewiczów jeden tylko profesor zdawał się zajęty biegiem przedstawienia, a i on nawet chwilami wysyłał oczy gdzieś w dal i zapadał w zadumę, jakby słuchał nie tyle śpiewów płynących ze sceny, jak jakichś wtórujących im głosów, w głębiach własnej duszy.

Wanda i Kornel szeptali między sobą w najlepsze, przyczem jemu w źrenicach przelatywały błyskawice, a jej gorące, pełne żaru rumieńce, naprzemiany z bladością księżycową zalewały policzki, skronie i szyję. Siostra Wandy rozglądała się po lożach, a więcej jeszcze po krzesłach balkonowych i parkietowych, zajętych przeważnie przez mężczyzn. Była to druga laleczka, która za przykładem starszej siostry rozpatrywała się po świecie, szukając sobie wygodnego na nim miejsca. Typ jej moralny i fizyczny był nieco odmienny. Wanda przy urodzie jasnowłosej, dziewczęco naiwnej, miała temperament, który trzymała na wodzy tylko potęgą własnej woli, dla własnego bezpieczeństwa i wygody, jaką zapewniała jej w życiu, nienaruszona dotąd niczem pozycya towarzyska. Miała przytem umysł bądź co bądź oszlifowany trochę i rozbudzony gruntowniejszemi naukami w gimnazyum, i to wkładało jej w rękę nową broń, której używała na poparcie swoich celów. Młodsza o lat sześć Helenka, nosiła w duszy ten sam ideał egoistycznego używania, ale pojmowała go jeszcze poziomiej, więcej po filistersku, niż profesorowa.

Ona nie potrzebowała powstrzymywać wybuchów swego zimnego serduszka i krwi ubogiej, wystarczającej w sam raz na zabarwienie jej okrągłej, lalkowatej twarzyczki, — mniej też ufna w powaby swojej osoby, wszystkie nadzieje przyszłości hypotekowała na nowych kapeluszach i modnych sukniach, i walczyła zacięcie z resztą rodziny o każdy szczegół toaletowy bez względu na to, że jakiś modny fatałaszek dla niej zajmował w wydatkach domowych miejsce n. p. pary bucików, potrzebnych dla brata uczęszczającego do gimnazyum.

— To mój posag! moja karyera! — wołała zaperzona, gdy jej kto w rodzinie próbował stawiać opór, — a ponieważ obecna czasem takim sprzeczkom Wanda, zwykle stawała po jej stronie, nikt już nie śmiał otwarcie się im obu sprzeciwiać.

Wogóle wpływ profesorowej w jej rodzinnem gronie rósł w miarę, jak w świecie naukowym rosła powaga i sława Kłopotkiewicza. On sam za cichy był, za nieśmiały, aby komukolwiek swoją wielkość narzucić; Wanda zgarniała na siebie wszystkie promienie szacunku i sympatyi ludzkiej; stroiła się w popularność swego męża, wydawała z godną uznania hojnością i lekkomyślnością pieniądze, które on zapracowywał długiemi zimowemi nocami, spędzanemi bezsennie nad stosami ksiąg i starych rękopisów.

Nie skarżył się zresztą o to wcale; pracował z potrzeby, z umiłowania tej pracy, do której niegdyś, jako skromny nauczyciel udzielający lekcyj po żeńskich zakładach, tęsknił całą duszą. Że dziś społeczeństwo płaciło mu złotem, gdy dawniej z trudnością zdobywał marne srebrniaki, że z drugiej strony Wanda wydawała te pieniądze z hałaśliwem a nędznem marnotrawstwem parweniuszki, — to było dla niego kwestyą tak marną, że nigdy nie zwracał nawet oczu w tę stronę. Inne już w życiu przechodził bankructwa, nad innemi bolał stratami, i gdyby tylko nie czuł w koło siebie i swoich dzieci tak przejmującego chłodu, nie miałby już o nic nigdy żalu do niej.

Ale tego jednego nie mógł jej przebaczyć, bo nie mógł wyrzucić ze swej duszy tych pragnień, któremi kołysał się tak długo w swojem samotnem, pracą tylko i marzeniami zapełnionem życiu. Pragnął, potrzebował kochać, a nie mógł pokochać tej, co mu się narzuciła na towarzyszkę dobrej i złej doli i kłamstwem otworzyła sobie drzwi jego domu; chciał dzieciom swoim opromienić życie słabym choćby odblaskiem macierzyńskiej miłości, a rzucił im tylko na usta pusty dźwięk słodkiego imienia matki, który ani w sercu Wandy, ani w ich dziecinnych serduszkach nie budził najmniejszego echa.

Wanda zresztą nie była złą ani dokuczliwą macochą; dbała o pasierbów mało co mniej nawet, jak o swoich własnych dwoje dzieci, które widywała raz na dzień, przy obiedzie, o ile ją jakieś zaproszenie nie oddalało i w tych godzinach od rodzinnego kółka.

W pierwszych chwilach macierzyństwa cieszyła się niemi trochę, a raczej stroiła chętnie w tę aureolę wdzięku, jaką macierzyństwo otacza młode, jasne czoło kobiety; później sprzykrzyło się jej to; uznała, że są łatwiejsze i zabawniejsze sposoby podobania się mężczyznom, takim zwłaszcza, z których rzędu ona wybierała swoje ofiary. Podbijała ich uśmiechami, podobnemi łudząco do przesyłanych dyskretnie pocałunków; ruchami, w których po za elegancyą światowej damy, zdawała się przebijać cyrkowa tancerka lub śpiewaczka z kawiarnianej estrady; tualetą wreszcie, obmyślaną tak, aby wszystkie jej szczegóły podkreślały jaskrawo bogactwa, jakiemi obdarzyła ją natura. Od chwili zawiązania bliższej znajomości z Kornelem, który swój cynizm moralny nosił wiecznie na pokaz, chełpiąc się nim niby orderem legii honorowej, i ona także zaczęła popisywać się frazesami, które połapała tu i owdzie jeszcze za gimnazyalnych i uniwersyteckich czasów. Drwiła z tych kobiet, które za główne zadanie swego życia uważają hodowanie jak najliczniejszego przyszłego proletaryatu, — rozwieszała znowu nad swoją głową, opuszczony dla łatwiejszego zdobycia męża, sztandar równouprawnienia kobiet, unosiła się nad teoryą wolnej miłości, — ale te wszystkie wykrzykniki były w jej ustach tylko czczą deklamacyą, której nie myślała wprowadzać w życie, bo wiedziała, że wolna miłość zamyka kieszeń męża i drzwi salonów, jest zatem sportem dość niewygodnym do uprawiania.

Byli jednak tacy, którzy łapali się na te frazesa i na rachunek przyszłości dawali się całemi latami wodzić po balach i rautach, tworząc około niej rój wielbicieli i otaczając ją tą atmosferą miłości, której jej natura tak potrzebowała.

Od czasu jednak, gdy w szeregu tych wielbicieli stanął Kornel, inni zaczęli się zwolna i dyskretnie usuwać, — klasyczna twarz jego miała w sobie coś, co nie zachęcało do współzawodnictwa.

Po spuszczeniu kurtyny, do loży Kłopotkiewiczów weszło kilku znajomych panów, Wanda rozmawiała i uśmiechała się swobodnie, lornetując przytem cały teatr; w przeglądzie swoim nie opuszczała drugiego ani trzeciego piętra, bo zresztą było jej prawie wszystko jedno, z jakich sfer padało na nią spojrzenie pełne upodobania, i z tem samem zadowoleniem odczuwała hołd źrenic cisnącego się w tłoku na galeryi studenta, jak uporczywy atak wyzłacanej lornetki, zwróconej na nią z głębi pierwszopiętrowej loży.

Gdy ku końcowi antraktu goście rozeszli się, zwróciła się do męża i rzekła sucho:

— Malwickie siedzą naprzeciw nas na drugiem piętrze, — trzeba, żebyś poszedł je odwiedzić po drugim akcie.

Profesor odpowiedział coś niewyraźnie, ale w oczach jego odbiło się zdziwienie, bo Wanda starała się dotąd usuwać od niego wszelkie sposobności widzenia się ze Stefą. Wprawdzie nie kochała go ani trochę, wydawał jej się zawsze śmiesznym, a chwilami prawie wstrętnym, ale nie mogła znieść myśli, aby on w duszy nosił się z najbardziej choćby mglistym ideałem innej kobiety, a czuła, że Stefa była dla niej w tym względzie najniebezpieczniejszą rywalką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

łeczeństwo nasze za głównem współdziałaniem szlachty, bratając w Towarzystwach najlepsze siły z ludu. Drugim jest ruch ludowy, powstały dopiero w ostatnich czasach, który grupuje się wokoło *Orędownika*, pisma o bardzo skrajnym programie, a nie wykazuje dotychczas takich, jak pierwszy, dodatnich owoców.

W sprawie taktyki wyborczej odbędzie się tutaj 24 bm. walne zebranie delegatów powiatowych, zwołane przez komitet prowincyonalny na W. Ks. Poznańskie. Takie samo zebranie odbyło się niedawno w Grudziądzu a a zwołał je komitet wyborczy na Prusy Zachodnie. Debatowano głównie nad kwestyą kompromisów ze stronnictwami niemieckiemi chodziło o to, czy należy zaraz przy prawyborach głosować na kandydata nam najmniej szkodliwego w tych okręgach, w których nie mamy widoków zwycięstwa, czy też należy i w takich razach głosować zawsze na Polaka, wychodząc z tej zasady, że stwierdzenie liczby ludności polskiej przy sposobności wyborów do parlamentu ma donioślejsze dla nas znaczenie, niż przeprowadzenie obojętnego nam posla. Ostatecznie uchwalono pierwszą normę postępowania i poruczono zawieranie kompromisów komitetom powiatowym w porozumieniu z centralnym komitetem i Kołem polskiem w Berlinie

Przypatrzmy się teraz, jak się zachowuje wobec przyszłych wyborów obóz niemiecki w Poznańskiem. Są w nim głównie reprezentowane trzy stronnictwa: konserwatywne czyli stronnictwo t. zw. junkrów, narodowo-liberalne i wolnomyślne. Z pierwszych dwóch stronnictw rekrutują się przeważnie zastępy hakatystów, natomiast żywioły wolnomyślne stronią od związku hakatystów, a to ze względów politycznych. Do niedawna jednak polityczny antagonizm nie przeszkadzał wszystkim tym stronnictwom łączyć się z sobą, gdy chodziło o wspólną akcyę przeciw Polakom, a więc w czasie wyborów do sejmu pruskiego lub parlamentu niemieckiego. Obecnie dość poważne dane przemawiają za tem, że z okazyi zbliżających się wyborów nastąpi w niektórych okręgach W. ks. Poznańskiego sojusz pomiędzy wolnomyślnym Niemcami a Polakami. Jeśli bowiem nic innego, to odrzucony niedawno przez pruski sejm projekt reformy prawa o zebraniach i stowarzyszeniach przekonał wszelkie liberalniejsze jednostki społeczeństwa niemieckiego o tem, jakie niebezpieczeństwo zagraża swobodzie obywatelskiej w razie, gdyby w ciele prawodawczem doszła do skutku większość konserwatywna. Wobec tego nie na wiele się zdadzą wszelkie umizgi tutejszych niemieckich dzienników konserwatywnych i apelacye do patryotycznego sumienia wolnomyślnych Niemców, główny bowiem organ wolnomyślnych *Posener Ztg.* dał energiczną odprawę poruszanemu przez hakatystyczną prasę projektowi sojuszu wyborczego pomiędzy wszystkiemi stronnictwami niemieckiemi przeciw Polakom.

Z objawów agitacyjnego ruchu wyborczego wśród Niemców wymienić należy dwa zebrania „Związku rolników" (Bund der Landwirthe), z których jedno odbyło się w Jabłonowie w Prusach Zachodnich, a drugie przed kilku dniami w Poznaniu. Na obu zebraniach zaznaczył Związek dobitnie swoje stanowisko antipolskie i wyraził nadzieję, że „uda mu się wysadzić Polaków z siodła". Jest to całkiem nowy zwrot w programie tego Związku, dotychczas bowiem zajmował się on tylko sprawami agrarnemi bez względu na narodowość rolników i liczył nawet wśród Polaków wielu zwolenników. Obecnie opanowali go hakatyści, wskutek czego ekonomiczny charakter Związku z czasem upaść musi. Do jakiego stopnia w naszych stosunkach dochodzi zawikłanie interesów ekonomicznych a politycznych, świadczy o tem taki fakt, który się zdarzył na ostatniem zebraniu Związku w Poznaniu. — W czasie debaty nad kwestyami ekonomicznemi zabrał głos pewien niemiecki właściciel dóbr z Gnieznieńskiego i gorzko użalał się na komisyę kolonizacyjną, a szczególnie na licytowanie sił roboczych przez kolonistów. Koloniści są plagą dla większego właściciela ziemskiego, bo pozbawiają go sił roboczych, przepłacając je, a stać ich na to, ponieważ worek komisyi kolonizacyjnej zawsze dla nich otwarty. Tymi wywodami mocno się zaniepokoili hakatyści i spowodowali to, że mówcy głos odebrano.

Ciekawem jest stanowisko, jakie zachowują żydzi wobec stronnictw niemieckich i polskich. Stają oni zwykle w szeregach stronnictwa wolnomyślnego, a dzieje się to głównie z pobudek samozachowawczych. W hakatyzmie, reprezentującym szowinizm wrogi wszelkim odrębnościom narodowym i rasowym, podejrzywają oni obok antypolskich, także antysemickie tendencye; otóż walcząc przeciw hakatystom, bronią jednocześnie i własnej skóry. Dopóki bowiem chodziło wyłącznie o wynarodowienie i gnębienie Polaków, żydzi poznańscy należeli do najgorliwszych, a przynajmniej do najkrzykliwszych rzeczników germanizmu. Z drugiej zaś strony podlegają żydzi łatwo terroryzmowi hakatystycznemu, zwłaszcza są bardzo czuli na groźby bojkotu. Okazało się to świeżo przy wyborach do Rady miejskiej w Gnieznie i Żninie, gdzie żydzi zawarli kompromis z Polakami, a w ostatniej chwili zerwali ów kompromis i dopomogli do zwycięztwa niemieckich kandydatów. Z tego wszystkiego wynika, że żydzi będą przy wyborach żywiołem bardzo niepewnym.

Pomimo, że przyszła sesya sejmu pruskiego powinna być z powodu przygotowań do wyborów krótką i nie dotykać kwestyi zasadniczych, w prasie niemieckiej wyłaniają się wieści o projektach ustawodawczych, które niby to mają być przedłożone sejmowi. Najgroźniejsza z tych wieści opiewa, że fundusz stumilionowy ma być powtórnie zawotowany a komisya jeneralna rentowa zniesioną. Powiadają także, że postawionym będzie wniosek o zniesienie przepisu, zabraniającego łączenia się towarzystw politycznych — ale z ustawy tej mają być wykluczone towarzystwa polskie, których swobodne łączenie się mogłoby się niby stać niebezpiecznem dla państwa ze względu na agitacyę wielkopolską.

Nakoniec jeszcze jeden projekt antipolski. Jak wiadomo wyrok trybunału administracyjnego w sprawie samowolnego rozwiązywania zgromadzeń polskich brzmiał na naszą korzyść, mianowicie tak, że nie wolno rozwiązywać zgromadzeń tylko za to, że obrady na nich toczą się w języku polskim. Ale wyrok ów w uzasadnieniu swojem zawiera nieprzychylny nam ustęp: że zwalczanie agitacyi wielkopolskiej jest zresztą uznania godnem ale dotychczasowe przepisy prawne nie wystarczają na to zwalczanie. W sferach hakatystycznych zrozumiano tę wskazówkę i podobno przygotowują one projekt, żeby na wszelkich zebraniach politycznych (a zatem i polskich) dozwolonem było posługiwać się wyłącznie tylko niemieckim językiem. Do kategoryi projektów germanizacyjnych należy także pomysł wypowiedziany w *Berl. N. Nachrichten* prawdopodobnie przez Hansemanna, aby komisyi kolonizacyjnej przyznano prawo przymusowego wywłaszczania Polaków z tych majątków, które są dla jej celów potrzebne.

Minister v. der Recke wydał obecnie rozporządzenie, które nakazuje, aby wydalano rosyjskich i galicyjskich robotników (tzn. robotników polskich z Galicyi i z Król. polskiego) zatrudnionych w rolnictwie, ponieważ prace w polu już się ukończyły. Zarazem przypomina dekret ministra, że robotników tych wolno używać tylko w rolnictwie a nie w zakładach przemysłowych, a kończy tak: „Rosyjscy i galicyjscy robotnicy winni być i w dozwolonym czasie zatrudnienia w Niemczech natychmiast wydalani jeżeli się uprzykrzą łączeniem się z krajowemi, od niemieckiego otoczenia odłączającemi się grupami robotniczemi". Tak opiewa dekret ministra. Ale tam, gdzie chodzi o interes, potrafią Niemcy poradzić sobie tak, aby ów antypolski dekret nie miał dla nich niekorzystnych skutków. Naczelny prezes Prus Wschodnich pozwolił właścicielom ziemskim zatrudniać robotników polskich zagranicznych przez całą zimę, jeżeli udowodnią, że robotnicy ci są im rzeczywiście w gospodarstwie niezbędnie potrzebni. Taką „ulgę" zrobiono jednak jedynie junkrom wschodnio-pruskim, natomiast z nadreńskich okręgów wydalają robotników polskich setkami

Na jednem z ostatnich posiedzeń tutejszej Rady miejskiej wniesiono interpelacyę w sprawie założenia uniwersytetu w Poznaniu. Nadburmistrz p. Witting oświadczył, że wspólnie z naczelnym prezesem Willamowitzem czyni w Berlinie starania, by przy wyborze miasta na założenie nowej szkoły akademickiej na wschodzie monarchii uwzględniono przedewszystkiem Poznań. Dotychczas jednak w sferach rządowych wahają się między Poznaniem a Gdańskiem, który na podstawie wysoko tam rozwiniętego przemysłu budowy okrętów domaga się akademii technicznej.

Dobra rycerskie Golinę, Golinkę i Stefanowo, w pow. jarocińskim w Poznańskiem, przeszło 400 mórg obszaru, nabyli od Niemca Polacy pp. Skrzydlewski i Moszczeński za 1,200.0 0 mk. Hakatyści są bardzo niezadowoleni z tego, że wypadki nabycia dóbr przez Polaków od Niemców mnożą się i niedawno pociągnęli do odpowiedzialności członka bractwa p. Matthesa za to, że sprzedał swój majątek Stefanowi hr. Kwileckiemu. Matthes nie czekając, aż go wykluczą urzędownie, sam wystąpił ze związku hakatystów. Wogóle teroryzm hakatystów uprzykrzył się już i Niemcom, zwłaszcza od czasu, gdy zaczynają oni grymasić już i na komisyę kolonizacyjną za jej rzekomo złą taktykę w zakupywaniu dóbr, i domagają się ustąpienia dr. v. Wittenburga z godności prezesa tej komisyi. Nie podoba im się teraz już i to, że komisya kupuje majątki głównie u Polaków, podczas gdy taktyka wymagałaby skupywania dóbr i od Niemców w celu wytworzenia jednolitych grup kolonizacyjnych, nierozerwanych polskiemi posiadłościami. Tu już egoistyczny interes widać jasno jak na dłoni; opinię taką fabrykują ci Niemcy, którzyby się chcieli pozbyć swoich dóbr w Poznańskiem a nie mają ich komu odsprzedać.

Zapowiedziane w teatrze tutejszym przedstawienie sztuk narodowych: „Kasper Karliński" i Mickiewicza: „Konfederaci Barscy" zostało przez policyę zakazane.

Spółka naftowa „Potok".

Krakowski korespondent *Dzien. Pol.* przytacza niektóre cyfry ze stanu finansowego tego przedsiębiorstwa, założonego przez Czesława Kieszkowskiego, Karola Scipiona i t. d. Akcyj sprzedano za kwotę 1,134.000 zł. Z tego zapłacono podobno za prawo eksploatacyi i wydobywania nafty na gruntach zadzierżawionych na lat 15 w Potoku 860.000 zł., w Zagórzu 90.000 zł., w Bandrowie 40.000 zł., w Krygu i Kobylance 50.000 zł. Na ten cel zatem wydano 1,040.000 zł., pozostało więc 94.000 zł. Ale już przy tych cyfrych nasuwają się akcyonaryuszom pewne wątpliwości, mianowicie wydaje się nieprawdopodobnem, aby Czesław Kieszkowski tak wielką kwotę 860.000 zł. zapłacił efektywnie za studnie w Potoku. Tę wątpliwość wzmacnia §. 3 kontraktu spółki, który postanawia, że rozpoczyna ona swoją działalność w chwili, gdy zbierze za akcye 400.000 zł. Akcyonaryusze kombinują tedy, że to jest, zdaje się, prawdziwa cena kupna, bo przecież spółka nie mogłaby rozpoczynać działalności, dopóki nie stała się właścicielką kopalni i dopóki niemi swobodnie rozporządzać nie mogła. Wyjaśnienie pozytywne jest tu ogromnie trudne, mógłby je dać tylko Czesław Kieszkowski. Akcyonaryusze przypuszczają, że „zarobił" on tu 400.000 zł, a tylko 400.000 zł. za kopalnie w Potoku zapłacił. Co do innych kopalni jak Zagórz, Kryg, Kobylanka i t. d., zastanawia również zbyt wysoka cena za prawo eksploatacyi. W każdym razie, odnośnie do tych ostatnich kopalni, pieniądze akcyonaryuszów zostały poprostu wyrzucone, ponieważ żadna z tych studzien, prócz Potoka, nie wydaje nafty. Ten punkt kupna kopalni, wypłaty za nie pieniędzy, zasługuje na dokładne zbadanie, a zauważyć trzeba, że są usiłowania rzucenia zasłony na ten ciekawy moment gryndersiwa. Pozostała zatem z poważnej kwoty 1,134 000 zł. po nabyciu kopalni zaledwie drobnostka 94.000 zł na koszta administracyi, na dalsze kopanie studzien i t. d. Kwotę tę wnet „przekopano", a na cele dalszego poszukiwania nafty zaciągnięto pożyczkę 200.000 zł. Mają już więc akcyonaryusze passywa Dzisiaj oprócz długów, spółka rozporządza gotówką około 2 000 zł. w kasie u p. Augusta Raczyńskiego. Stan ten spowodował akcyonaryusza ks. Konstantego Lubomirskiego do tego, iż na wczorajszem zgromadzeniu przez swego pełnomocnika adwokata dra Czesnaka zagroził procesem.

Taki jest stan efektywny przedsiębiorstwa zainicyowanego przez Czesława Kieszkowskiego dnia 1 kwietnia zeszłego roku. Prawdziwe *Prima Aprilis*! Trzeba wszakże dodać do tego obrazu dość wysokie koszta zarządu, oraz fakt, że od tego czasu wydobyto w Potoku ropy za 348 000 zł. brutto, a i tę kwotę włożono w poszukiwania za naftą.

Na onegdajszem posiedzeniu akcyonaryuszów zastanawiano się, jak z tego błota wybrnąć. W tej mierze przedstawiały się tylko trzy możliwe alternatywy: 1) sprzedaż „Potoka", 2) likwidacya, 3) dalsze prowadzenie spółki. Co do sprzedaży, to hr. Karol Scipio zapytywał zebranych, za jaką kwotę byliby gotowi prawa swoje odprzedać; zapytanie to stało zapewne w związku z rozszerzoną wiadomością, że jakaś węgierska spółka chce nabyć „Potok". Zebrani odpowiedzieli p. Scipionowi, że ceny sprzedaży niewidzialnemu i nieuchwytnemu kupcowi naznaczyć nie mogą, że przeciwnie rzeczą jest kupca postawić ofertę z pozytywną kwotą. Co do likwidacyi, byłaby ona dzisiaj największą klęską, bo akcyonaryusze, sprzedawszy inwentarz kopalni i zapas ropy, uzyskaliby najwyżej 200 000 zł., co zaledwie pokryłoby obecne pasywa, oni zaś nie odzyskaliby jednego centa z wpłaconych gotówką 1,340.000 zł. Pozostała więc trzecia alternatywa: dalszego prowadzenia kopalni na rachunek dotychczasowych akcyonaryuszów. Ta nie zyskała onegdaj aprobaty zgromadzenia z powodu braku wymaganego kompletu dwóch trzecich udziałów. Poniżej podajemy szczegółowo przebieg tego zgromadzenia:

Na zebraniu reprezentowanych było 273 głosów, zastępujących kapitał 1,315.000 koron. Przewodniczył p. dr. Franciszek Paszkowski, a obszerne sprawozdanie składał członek zarządu hr. Karol Scipio. Cyfry główne tego sprawozdania, znane już czytelnikom, przedstawiają obecnie gotówkę około 2000 zł., znajdującą się w kasie spółki, a pozostałą z olbrzymiej sumy 1,134.000 zł, złożonych przez akcyonaryuszy, oraz z dodatkowej pożyczki 200 tysięcy zł., zaciągniętej przez Czesława Kieszkowskiego, a która, jak przypuszczają akcyonaryusze i jak dzisiaj uchylający się rąbek zasłony wskazywać się zdaje, utonęła także w bezdennej kieszeni krakowskiego bohatera.

Hr. Scipio zakończył wnioskami o wybór nowego zarządu i uprawnienie go do zaciągnięcia dalszej pożyczki do wysokości 250 tysięcy zł. celem dalszego prowadzenia kopalni, ewentualnie żądał upoważnienia do sprzedaży kopalni, bez odwołania się do walnego zebrania.

Dyskusya była gorącą i niezbyt przyjemną dla zarządu. P. dr. Gawlik ze Suchy, powołując się na artykuł *Dziennika Polskiego* (powtórzony swojego czasu przez nas) krytykował zarząd; cyfry i fakta podane przez *Dziennik Polski*, nie spotkały się z żadnem zaprzeczeniem. Objawiła się tendencya, dążąca do tego, ażeby dotychczasowy zarząd pokrył już zaciągniętą pożyczkę, żeby ją po prostu zapłacili ci, którzy na wekslach są podpisani, tem więcej, że prawdopodobnie pożyczka została w ręku Czesława Kieszkowskiego.

Głos zabierali dalej pp. adwokat dr. Łepkowski, dr Stanisław Biesiadecki, adwokat dr. Olearski, p. Łubieński ze Stryszowa, adwokat dr. Rosenblatt, Czecz Karol, adwokat Czesnak.

Prof. dr. Rosenblatt protestował przeciw zaciąganiu nowej pożyczki, tem więcej, że na zgromadzeniu niema potrzebnej liczby (dwie trzecie głosów), wynoszącej 302 głosy. Adwokat dr. Czesnak bronił ks. Konstantego Lubomirskiego przed zrobionym mu zarzutem, iż wystąpił z zarządu.

Ostatecznie zgromadzenie uchwaliło wybrać specyalną komisyę, któraby zbadała dokładnie cały stan rzeczy, rozpatrzyła sprawy finansowe spółki i z wnioskami swoimi przyszła przed nowe walne zebranie, na dzień 12 grudnia b r. zwołać się mające. W skład komisyi tej, mającej działać niezależnie od dotychczasowego zarządu, weszli pp. Chrząszczewski Sędzimir, Tadeusz Stryjeński i Jacek Heggenberger. Wybrani cieszą się nieposzlakowanemi nazwiskami, ale bardzo na pięty odpowiedzialnym w zarządzie czynnikom następować nie będą

Osobno składał sprawę p. Fabiański, techniczny dyrektor „Potoka". Z jego sprawozdania ciekawą jest cyfra że „Potok" kosztuje spółkę akcyonaryuszy obecnie 14.000 zł. miesięcznie, a przynosi 7000 zł. brutto. Znawcy wszakże twierdzą, iż rozchody można zredukować i tak administracyę uprościć, że mogłaby ona kosztować najwyżej 5 000 zł. miesięcznie

Zatem cała sprawa odroczona do 12 grudnia b. r.

Rada państwa.

Wiedeń 25 listopada. *Wczorajsze posiedzenie musiano zamknąć z powodu ogólnej bójki, jaka się wywiązała.* Nie załatwiono nawet wstępnych formalności, a o przystąpieniu do porządku dziennego i mowy być nie mogło.

Po oświadczeniu prezydenta Abrahamowicza na zapytanie liberała Grossa, zażądał głosu młodoczech Dyk, i aby położyć tamę ustawicznym imiennym głosowaniom, postawił wniosek, by Izba uchwaliła z 58 jednobrzmiących petycyj jedną kazać wydrukować i dołączyć do protokołu stenograficznego, a nadto, by uchwaliła ośm dalszych petycyj, nie brzmiących jednakowo, odczytać. Gdy p. Dyk wypowiedział swój wniosek, lewica poczęła formalnie ryczeć. Wolf, a z nim wierni mu dziś jego liberalni przyjaciele, Gross, Gloeckner i Steiner wdarli się na trybunę prezydenta i poczęli wrzeszczeć jak opętani. W ten sposób zmusili prezydenta, że udzielił im głosu. Przemawiali więc Gross, Pfersche (liberali) i Kaiser (niemiecki narodowiec), w gwałtowny sposób napadali na prezydyum i domagali się całego szeregu głosowań imiennych.

Tymczasem odezwały się wśród lewicy głosy, obrzucające prezydenta Izby obelgami. Wśród tego nagle Schoenerer zażądał głosu. Prezydent zapytuje go, o czem chce przemawiać, a ponieważ Schoenerer wzbraniał się dać odpowiedź, wołając „co panu do tego", przeto prezydent udzielił głosu następnemu mówcy p. Schückerowi (liberałowi).

Teraz powstał ogromny hałas i zamieszanie. Zakotłowało w całej Izbie. Schoenerer, jak wściekły, skacze na trybunę prezydenta, chwyta dzwonek, poczyna gwałtownie dzwonić i krzyczy: „udzielam sam sobie głosu". P. Potoczek chwyta swą ręką rękę Schoenerera, wydziera mu dzwonek i stawia na stole prezydyalnym. Schoenerer zeskakuje z trybuny prezydenta i kryje się wśród posłów. Prezydent przerywa posiedzenie.

Podczas tej pauzy, dzieją się w sali istne orgie. Trybuna prezydyalna natłoczona posłami. Wolf oparł się plecami o stół prezydenta i wrzeszczy. Kilku młodoczechów i p. Potoczek stoją w pobliżu i mają go na oku.

Przerwa trwała pół godziny. Gdy prezydent Abrahamowicz wszedł na trybunę powitała go lewica obelżywymi wykrzykami. — Prezydent zająwszy swe miejsce, odsunął dzwonek i rzekł, że ponieważ p. Schönerer odważył się posługiwać tym dzwonkiem, przeto poleca postawić inny na stole prezydyalnym. — Oświadczenie to wywołało ponowne ryki i złorzeczenia na lewicy. Wolf porywa drugi dzwonek znajdujący się na stole i woła: „A więc dobrze, dać tu trzeci dzwonek". — Schoenerer domaga się głosu, prezydent chce coś przemówić, ale nie dają mu przyjść do słowa. Wolf, stojący tuż koło stołu prezydyalnego, bezustannie miota wyzwiska, prezydent wzywa go do porządku, Wolf zaś w odpowiedzi wali z całej siły pięścią w stół. Na prawicy słychać wołanie: „Zrzucić go stamtąd! Za drzwi z nim!" Kwestor Lang zbliża się do Wolfa i wzywa o przyzwoite zachowanie się, Wolf odpowiada na to obelgami, Lang oddala się mówiąc: „To waryat". Wolf, Steiner i Kittel przewracają wszystko na stole prezydyalnym, P. Abrahamowicz schodzi z trybuny oświadczając, że przerywa posiedzenie, aby można usunąć z trybuny awanturników.

Podczas pauzy, która teraz nastała, rozpasanie obstrukcyonistów przeszło wszelkie granice i powstała bijatyka. Wolf chwycił za dzwonek i dzwoni nim bezustannie. Potoczek usiłuje mu go wyrwać. Wolf szamoce się z Potoczkiem, przyczem zlatuje mu cwikier z nosa. Posłowie z prawicy starają się zepchnąć Wolfa i innych awanturników z trybuny prezydyalnej. Ze wszystkich stron sypią się uderzenia pięści, w zbitym kłębku targają się nawet za czupryny, a kilku posłów powalono na ziemię.

Na galeryi słychać okrzyki zgrozy, publiczność woła: „Pfuj! Pfuj!" Na Wolfie poszarpano surdut, wrzeszczy on jak opętany, że jutro przyniesie rewolwer i powystrzela wszystkich jak psów. Schönerer chwyta ciężki fotel ministeryalny i chce nim rzucić na posłów z prawicy, urzędnik kancelaryjny Kupka wyrywa mu fotel, Schönerer chwyta za inny, ale i ten wyrwano mu. W ogólnem szamotaniu się powalono Schönerera na ziemię.

W tem straszny wrzask zatrząsł powietrzem. Liberał Pfersche, profesor uniwersytetu w Pradze, z podniesionym scyzorykiem rzuca się ku stronie Polaków i Czechów wołając: „Ja was tu zakłuję! rozpłatam wam brzuchy!"

Okrzyk oburzenia przebiega przez całą salę na widok tego zdziczenia. P. Lemisch (niemiecki narodowiec) wyrywa nóż z ręki i rzuca go na bok, przyczem p. Gessmana rani lekko w rękę. Na Pferschego ze wszystkich stron sypią razy, a razy już bardzo bolesne, gdyż wszyscy są bardzo rozdrażnieni.

Scena z nożem podnieciła jeszcze rozjątrzenie i zaostrzyła bójkę Nawet radzca dworu Szuklje należy do walczących. W zbitym kłębku bijących się nikogo nie można odróżnić, słychać tylko krzyki, jęki, głuche uderzenia w głowę lub kark i głośne w policzek.

Hr. Vetter i ks. Pastor chlupnęli kilka szklanek wody na targających się za bary posłów, ale nie wiele to pomogło.

W owej chwili zjawia się w sali prezydent p Abrahamowicz i woła: „Ze względu na gwałty i bójki, których widownią jest ta sala, zamykam posiedzenie, a o terminie następnego uwiadomię panów pisemnie. Tych panów, którzy mogą mi podać nazwiska tych posłów, którzy stali się winnymi gwałtów, zapraszam do mego biura". Rzekłszy to prezydent odchodzi.

Mimo zamknięcia posiedzenia walka trwa jeszcze dalej. Wreszcie powoli zaczyna się liczba walczących zmniejszać. Wzburzenie jednak w Izbie jest wielkie. Posiedzenie zostało zamkniętem o godzinie pół do 5, a o 7 jeszcze stali w sali w grupach posłowie i omawiali zajścia, które się działy.

Prezydyum Izby zebrało się na obrady. W Izbie kursują najrozmaitsze pogłoski. Między innemi kolportują wieść, iż Schoenerer i Pfersche z powodu zaburzenia spokoju publicznego mają być aresztowani.

Tymczasem do prezydyum zgłaszają się posłowie, aby składać zeznania. Zeznania te są stenografowane.

O zeznaniach tych podają następujące szczegóły: P. Potoczek oświadczył, iż nikogo nie bił i że nikt go nie uderzył. P. Milewski skonstatował, że Pfersche groził posłom nożem i innych zachęcał, aby powyciągali z kieszeni noże i rzucili się na Polaków i Czechów. Pos. Holensky przyznał się, że uderzył Pferschego po głowie za to, że on Brzeznowskyemu groził nożem i wołał, że wszystkich zakłuje. To samo stwierdza p. Merunowicz. P. Szuklje również zeznał, że Pfersche mówił o kłuciu i rozpłataniu brzucha. To samo zeznają pp. Lang, Udrżal i inni. P. Lebloch (Młodoczech) przyznaje się, że uderzył Wrabetza (liberała) w policzek. Jeden z najpoważniejszych członków Izby dr. Engel również zeznał, że Pfersche groził nożem i wołał, iż będzie płatał brzuchy.

Prezydyum i komisya parlamentarna prawicy odbyły długie narady. Postanowiono zaprowadzić nowe środki dla ochronienia prezydyum od napaści. Jutro odbędą się posiedzenia wszystkich klubów. Prawdopodobnie będzie zmieniony regulamin Izby. W całem mieście panuje wielkie wzburzenie z powodu dzikich scen, jakie rozgrywały się w Izbie. Prezydyum zrobiło o wszystkich gwałtach doniesienie do prokuratoryi. Obiega pogłoska, że Schoenerer zrobił doniesienie do prokuratoryi przeciw tym posłom, którzy go bili.

Następne posiedzenie dzisiaj o godzinie 1-ej w południe.

Polowania.

Jesień — sezon polowań! — mówi sobie myśliwy współczesny i, wziąwszy na ramię dwururkę, idzie na zająca, co to siedzi pod miedzą, a myśliwi o nim nie wiedzą, lub przez pół dnia ze znarowionym wyżłem ugania się za stadkiem suchotniczych kuropatw. A gdy mu się uda przytroczyć do torby kota lub kuropatw parę, powraca dumny z siebie i z trofeów, uważając się za strzelca z Bożej łaski i niebezpiecznego Diany-Łuczniczki współzawodnika.

Inaczej *in illo tempore* bywało.

W XVII-em naprzykład stuleciu słynne były polowania na jelenie; roztaczano na nich zbytki nadzwyczajne. Księżna orleańska w pamiętnikach swoich opowiada, iż w ciągu czterech lat była obecna przy śmierci tysiąca rogaczy. Rachunki pozostałe na dworze elektora saskiego wykazują, iż od r. 1611-go do 1656-go jego elektorska mość położył własną ręką w okolicach Drezna 110.960 sztuk grubej zwierzyny, tak na polowaniach z naganką, jak *par force*.

Ale nie na liczbę zwierzyny zwracano wówczas główną uwagę: przedewszystkiem chlubą dla strzelca było kłaść sztuki nadzwyczajnej wielkości i piękności. Dziś, z powodu wytrzebienia lasów, a więc skarlenia zwierzyny, okazów takich nie znalazłbyś na terytoryum Europy. Najpiękniejsze sarny węgierskie — a sarny węgierskie do najpiękniejszych dziś należą! — nie ważą więcej nad 300 funtów, gdy tymczasem Jan Jerzy Saski nie bił zwierzyny, któraby ważyła niżej 850 funtów. To samo można powiedzieć o wilkach, dzikach, niedźwiedziach i innej „zacnej zwierzynie", od której roiły się knieje królewskie i magnackie. Jednemu z elektorów saskich ofiarowano koronę czeską. „Jakto? — zapytał — ja miałbym panować nad krajem, w którym sarny i jelenie są brzydsze, niż w Saksonii? Nigdy!" I odmówił. Tak przynajmniej mówi podanie.

Najpiękniejsze rogi jelenie uważane były za trofea myśliwskie, niemające ceny. Przechodziły one od ojca do syna, jako pamiątki rodzinne. W przedsionkach i sieniach zamkowych rogi jelenie i łosie na pierwszem zawieszano miejscu, a im rogów tych suciej, tem gospodarz dzielniejszy. Wiadomo, iż kiedyś za rogi elektor saski dał elektorowi brandenburskiemu całą kompanię grenadyerów, i to nie byle jakich, bo wybieranych z całej Saksonii, jak jagły z korca maku aby wzrostem i siłą nie przynieśli wstydu gwardyi królewskiej. Kiedyś znów za głowę jelenia pewien książę wirtemberski dał całą wioskę z polami, lasami, a nawet, jak zapewnia jowialny kronikarz, „z pastorem, bocianem na kole i mieszkańcami". Wiadomo również, iż pewien książę pomorski ofiarował jakiemuś pankowi francuskiemu za niezwykłe rogi jelenie 625.000 fr. i — odszedł z kwitkiem, bo posiadacz rogów uważał, że suma jest zbyt niska!

Dochodziło do tego, iż na miejscach, na których padały wyjątkowo piękne sztuki zwierzyny, wznoszono kolumny pamiątkowe, wznoszono kościoły i klasztory na wieczną rzeczy pamiątkę.

Kobiety na równi z mężczyznami brały udział w uciechach myśliwskich (*vide* choćby „Krzyżaków" Sienkiewicza). Najulubieńszą rozrywką dam na dworze elektorów saskich były tak zwane „skoki lisie". Zabawa polegała na tem, iż myśliwi zgromadzali się około pola, otoczonego płotami z chrustu, naganka zaś napędzała na owe pola zwierzynę. Damy zasiadały w tak zwanych „koszach" czyli namiotach, zbudowanych na palach dość wysokich, mężczyźni zaś stawali przy wejściu na pole, trzymając w ręku długie pasy płócienne. W chwili, gdy spłoszona zwierzyna wpadała na pole i wbiegła na szereg pasów, trzymający płótna pociągali silnie końce ku sobie, pasy wyprężały się, a przebiegająca po nich zwierzyna, wyrzucana gwałtownie w górę, zabawne wyprawiała skoki. Wynalazcą tego „sportu" był August Mocny, późniejszy król polski, który zwykł był jednym palcem trzymać jeden koniec pasa, dwaj zaś żołnierze trzymali koniec drugi. Gdy przyszła chwila właściwa, August jednym palcem pociągał za płótno tak mocno, iż obaj żołnierze padali jak długi na ziemię.

Zabawa nie była tak niewinną, jakby się komuś zdawać mogło. Dopóki lis wyprawiał skoki, niebezpieczeństwa nie było. Gdy jednak dostał się w szranki chruściane dzik lub kot dziki, rzecz stawała się groźniejszą. Doprowadzony do szału dzik rzucał się na myśliwych, a kot — jak mówi jeden z pamiętnikarzy — nie dostarczał wielkiej uciechy, bo zwykle tak wpijał się pazurami w płótno, iż, pomimo wszelkich wysiłków myśliwych, niepodobna było podrzucić go do góry, a i to trzeba się było strzedz, aby nie wpadł na myśliwych, bo wówczas pokąsanych łydek nie brakowało".

Inne czasy, inni ludzie i inne polowania...

Kronika.

Lwów 25 listopada.

Książę namiestnik powrócił z Wiednia do Lwowa.

Naczelny dyrektor poczt i telegrafów, radzca dworu Jan Seferowicz wyjechał w sprawach urzędowych do Wiednia. — Kierownictwo galicyjskiej Dyrekcyi poczt i telegrafów objął starszy radzca pocztowy pan Emil Gaberle.

Jarmark gwiazdkowy. Towarzystwo imienia św. Salomei urządza, jak co roku, dnia 8 grudnia w wielkiej sali Domu narodnego jarmark gwiazdkowy w celu zasilenia kasy Towarzystwa. Wobec zbliżającej się zimy i zwiększającej się nędzy, Towarzystwo musi w ten sposób starać się o powiększenie funduszów, aby choć w części odpowiedzieć swojemu zadaniu.

Władysław Barącz, ulubiony monologista, przebył w ostatnich czasach w Czerniowcach ciężką chorobę. Poddawszy się operacyi, ma się obecnie znacznie lepiej i na dzień czwarty grudnia zapowiedział swój przyjazd do Lwowa celem wzięcia udziału w programie rautu dziennikarskiego.

W Towarzystwie politechnicznem p. Józef Tuleja wczoraj wygłosił dalszy ciąg swego odczytu o spółkach akcyjnych w Galicyi. Prelegent z wielką bystrością umysłu wnikając w psychologię ludności galicyjskiej, wykazywał, jakie przesądy i błędne pojmowania rzeczy stanowią u nas przeszkodę w tworzeniu się nowych spółek akcyjnych. Przedewszystkiem uważałoby się to u nas za rzecz niesłychaną, ażeby ktoś nie posiadający kapitałów wziął się do założenia większego przedsiębiorstwa, chociażby to był najpoważniejszy fachowiec i najlepszy projekt przedłożył. Gdzieindziej tak nie jest, tam nikt w takich razach nie ogląda się koniecznie za wielkim kapitałem, albowiem każdy wie, że w jakikolwiek sposób zainicyowane będzie przedsiębiorstwo, zawsze musi się oprzeć na siłach fachowych, zawsze właściciele muszą zawierzać ich projektom. Następnie powszechnie bywa podnoszony zarzut, że brak u nas ludzi fachowych. Dawniej tak było, i w tem leży przyczyna upadku pierwszych usiłowań wytworzenia u nas wielkiego przemysłu. Dzisiaj są już fachowcy, ale ciągle jeszcze trwa mniemanie o tym braku ludzi fachowych. Mniemanie takie z rozmysłu wpajają w nas Niemcy; od nich to przejmujemy przesadne pojęcia o trudności kierowania fabryką; sądzimy, że tylko Niemcy podołać mogą temu zadaniu. Dla należytego zrozumienia, o ile pojmowanie to jest błędne, potrzeba dobrze odróżnić praktyka od fachowca. Praktykiem jest ten, kto posiada szczególne wyćwiczenie w pewnym skromnym dziale fabrykacyi; zwykle jest to człowiek bez teoretycznego, lub nawet wogóle bez jakiegokolwiek wykształcenia. Fachowcem zaś jest ten, kto posiada ogólną znajomość danego zakresu i włada nim wszechstronnie, tak, że potrafi całem przedsiębiorstwem kierować. Jasną jest rzeczą, że gdzie mamy do czynienia z wielkiemi przedsiębiorstwami, fachowiec nie może być zarazem praktykiem w każdym poszczególnym dziale, że nie może znać każdej cegiełki, każdej śrubki, każdego fortelu w robocie Niemcy jednakże chcą, abyśmy ich za takich uważali i sprawili, że u nas takie przesadne rzeczy od fachowców bywają wymagane. Gdyby się trzymać tej metody, toby nie można zakładać fabryki w celu eksploatowania nowych wynalazków, boć przecie nikt jeszcze nie może mieć praktyki szczegółowej w prowadzeniu przedsiębiorstwa, jakiego przedtem nie było w świecie. Otóż fachowców w należytem rozumieniu w kraju naszym jest dosyć, a i praktycznych robotników znajdziemy czy to w kraju, czy zagranicą, gdzie polscy robotnicy w wszystkich rodzajach przemysłu bywają w wielkiej liczbie zatrudniani. Muszą to być nielada pracownicy, skoro pomimo wzmagającego się szowinizmu, ich się nie oddala

Dalszą przeszkodą w tworzeniu się u nas spółek akcyjnych są błędne pojęcia ludności naszej o oszczędności Właśnie najodpowiedniejszą formą lokowania drobnych kapitałów są spółki akcyjne. Lokowanie to jest równie pewne, jak składanie do kasy oszczędności, a jest o wiele korzystniejsze, a przeto wyżej stoi pod względem etycznym. Nad tem się bowiem przeciętny Galicyanin nie zastanawia, skąd się bierze procent, przyrastający do kapitału złożonego w kasie oszczędności; nie wie on, że ostatecznie nie jest to nic innego, jak—lichewka (?), bo pojęcie lichwy należy rozszerzyć do wszelkiego nieproduktywnego pobierania procentów (??!!).

Inne jeszcze zarzuty czynią u nas ludziom projektującym zakładanie przedsiębiorstw przemysłowych drogą spółek akcyjnych, np że plany ich są czczem teoretyzowaniem, że brak u nas węgli, że nie ma zbytu, że jest to małpowanie obcych itp.,— zdania, po tysiąc razy zbijane, a jednak ciągle utrzymujące się u naszej ludności. W obec tego trzeba jak najdobitniej zaznaczyć, i powtarzać to, ilekroć nadarza się do tego sposobność, że wytworzenie wielkiego przemysłu jest dla nas koniecznym warunkiem bytu. Galicya jest w stosunku do wartości jej produkcyi rolniczej przeludniona; nie wypada nic innego, tylko albo połowę ludności stąd wyrzucić, albo stworzyć przemysł wytwórczy na wielką skalę. Do tego celu w danych warunkach nie ma innej drogi, jak spółki akcyjne. Używanie kapitałów obcych do zakładania przedsiębiorstw wielkiej dla kraju korzyści nie przynosi, bo główna część zysków idzie za granicę; nadto powinne nas zastanowić takie zjawiska, jak wytworzenie się w Łodzi centrum niemieckości i dążeń hakatystycznych w sercu Królestwa W kraju naszym zaś mało jest wielkich kapitałów prywatnych, a te co są, znajdują się w rękach do działalności przemysłowej nieprzydatnych; magnaci nasi zazwyczaj nie wiele się troszczą o wielki przemysł, a żydzi, których powszechnie uważa się w kraju naszym za jedyny element przemysłowy, okazali się niezdolnymi stworzyć w tej sferze coś nowego, ograniczając się jedynie do naśladowania. Pozostają więc tylko spółki akcyjne, umożliwiające kapitałom drobnym osiągnięcie wszystkich korzyści, jakie daje produkcya na wielką skalę prowadzona.

Na końcu mówca dla ilustrowania swych wywodów przykładami, będącymi jeszcze świeżo w pamięci Lwowian, przytacza sprawę z magazynem obuwia fabryki Mödlingskiej. Ile było wtedy hałasu, ile projektów i pół-środków! Gdyby wtenczas Towarzystwo akcyjne założyło było u nas taką samą fabrykę obuwia, konkurencya byłaby z pewnością pokonaną; gdyśmy tego nie zrobili, zrobili to Czesi, i mamy dzisiaj do zwalczania nie jednego ale dwóch konkurentów, bo oprócz mödlingskich sklepów, pojawiły się wszędzie magazyny obuwia karlsbadzkiego. Podobnie rzecz się ma z kartelem browarów. Równocześnie i we Wiedniu taki sam kartel się zawiązał, ale Wiedeń sobie poradził: zaprojektowany został browar akcyjny; czy on zbudowany zostanie, czy też nie, w każdym razie odniosło to już ten skutek, że browarnicy natychmiast oświadczyli, że nie myślą cen piwa podwyższać.

Na tle tego odczytu rozpoczęła się dyskusya. P. Kornela w duchu wywodów prelegenta podnosi, że zwykle zasłaniają się u nas twierdzeniem, iż Galicya jest krajem rolniczym, a nie przemysłowym. Otóż właśnie rolnictwo daje bardzo wiele sposobności do wytworzenia przemysłu i do podejmowania akcyi zbiorowej. Brak u nas zrozumienia tej rzeczy, brak także inicyatorów, a pod tym względem objawia mówca zdanie odmienne od prelegenta, że inicyatorami powinni być nie fachowcy bez kapitałów, ale tylko kapitaliści.

Baron Gostkowski zaznacza, że jeżeli ma się u nas zakładać fabryki konkurencyjne, to potrzeba wynaleźć dla nich coś, coby umożliwiało produkcyę tańszą niż gdzie indziej, inaczej, zwłaszcza wobec większego oddalenia Galicyi od wielkich środowisk handlu, nie będziemy mogli wytrzymać i pokonać konkurencyi zagranicznej. W tej mierze proponuje mówca używanie do wprawiania w ruch motorów nie pary, ale wytworzonego z naszego drzewa lub torfu gazu (Kraftgas); w tem inne kraje monarchii nie będą mogły nam dorównać, nie mając tak wielkiej ilości drzewa i torfu. Panowanie pary, — powiada bar. Gostkowski, — ma się już ku końcowi.

Prof. Fiedler zgadza się z zapatrywaniami p. Tulei i dodaje, że dalszą przeszkodą dźwignięcia się naszego przemysłu wielkiego jest brak wiadomości ekonomicznych i handlowych u ogółu naszych techników. Jeżeli technik galicyjski wchodzi w styczność z kapitalistami w zamiarze utworzenia przedsiębiorstwa przemysłowego, to z pewnością zrazi ich sobie niejasnemi, częstokroć prymitywnemi pojęciami o ekonomicznych warunkach, wogóle, jak się mówca wyraża, o całym układzie nerwowym takiego przedsiębiorstwa. Jeżeli coś może przyczynić się do zmiany tego stanu rzeczy, to w pierwszym rzędzie podobne odczyty, jak p. Tulei, mówca więc składa prelegentowi serdeczne podziękowanie i wyraża życzenie, żeby za przykładem jego i inni takie poglądy u nas starali się rozpowszechniać.

P. Gryziecki powiada, że należy właścicieli dóbr w Galicyi zachęcać do posyłania dzieci swoich na technikę, gdyż przez to najłatwiej pokonany być może brak zaufania do techników, cechujący naszych obywateli ziemskich.

Na tem dyskusyę zamknięto.

Rada szkolna krajowa zamianowała w szkołach ludowych: ks. Andrzeja Bilińskiego i ks. Piotra Sadulskiego w Bochni; Józefa Diwinę kier. w Budzanowie; Apolonię Bogdańską nauczycielką starszą w Dobromilu; Józefa Czopanowskiego kier. w Jarosławiu.

Gr. kat. probostwo *religiae coll.* w Miliku nadało Namiestnictwo ks. Piotrowi Chylakowi, gr. kat. plebanowi w Bliziance.

Konferencye biskupów austryackich rozpoczęły się onegdaj w pałacu arcybiskupim w Wiedniu pod przewodnictwem ks. kardynała Schönborna. Z Galicyi biorą w konferencyach udział: ks. arcybiskup Morawski, książę biskup ks. Puzyna, księża biskupi: Solecki, Łobos, Czechowicz i Kniłowski.

Konkursa rozpisują: Starostwo górnicze w Krakowie na posadę kancelisty w XI kl. rangi z poborami 780 zł. Termin do 1 stycznia.

Komenda zakładu ogierów rządowych w Drohowyżu na posadę ordynującego lekarza dla żołnierzy posterunku nr. 2 w Olchowcach, z siedzibą w Olchowcach lub w Sanoku. Wynagrodzenie roczne 450 zł. Termin do 8. grudnia,

Świeży kwiatek na bruku krakowskim. W krakowskiem Towarzystwie wzajemnego kredytu kupców i przemysłowców wykryto defraudacyę. Podejrzanego o popełnienie defraudacyi urzędnika tej instytucyi, Władysława Bruśnickiego, byłego radzcę miejskiego, aresztowano. — Bruśnicki liczy lat 70. Szkoda, poniesiona przez Towarzystwo, wynosi kilka tysięcy zł. Od paru miesięcy Bruśnicki nie pracował już w biurze Towarzystwa.

Pożar w Szczawnicy wybuchł onegdaj i pochłonął dwanaście domów, z tych dwa, należące do Akademii Umiejętności. Oba te domy były ubezpieczone.

Uprzejmość arcyksięcia Karola Stefana. Z Żywca donoszą: Tutejszy „Sokół“ urządził tymi dniami nabożeństwo żałobne za duszę Kornela Ujejskiego. Gospodarz „Sokoła“, któremu powierzono przystrojenie katafalku, udał się do zarządu dóbr arcyksiążęcych w celu wypożyczenia na ten czas kwiatów. Tam mu jednakowoż odmówiono; idzie do dyrektora, ale i ten odmówił. Nic dziwnego, bo urzędnicy arcyksiążęcy ze swym dyrektorem, to przeważnie Prusacy, którzy zapomnieli, że żyją na polskiej ziemi i chcą hakatystyczne idee swych braci z nad Sprewy i u nas zastosowywać. Gospodarz każe się meldować wprost do arcyksięcia. Wyjaśniwszy cel i spóźnioną prośbę, uzyskał natychmiast potrzebne zezwolenie. Arcyksiążę Karol Stefan zawiązał dłuższą z proszącym rozmowę, której treścią był życiorys Ujejskiego i cele towarzystwa „Sokół“. W końcu oświadczył arcyksiążę, że „Sokół“ zawsze może w podobnych wypadkach rozporządzać jego oranżeryą.

Przesilenie w Warszawie. Oto co z tamtąd piszą: „Już od chwili przyjazdu cara spostrzegł ks. Imerytyński, że jest w Warszawie odosobniony. Oprócz naczelnika sztabu Puzyrewskiego i naczelnika pałaców cesarskich Iwanowa, wszyscy przybrali względem niego stanowisko chłodnej opozycyi, a co dziwniejsza i co trąci trochę nieprawdopodobieństwem, oponentem jest sprowadzony przez niego ks. Oboleński. Próżniak, kobieciarz i człowiek ciasnego umysłu, arystokrata ten w zakresie powierzonych sobie atrybucyj, jakoby umyślnie wydaje decyzye niezgodne z kierunkiem Imerytyńskiego. Pomiędzy innemi ma on sobie oddany teatr, którego on właściwie, a nikt inny jest faktycznym kierownikiem. Kiedy zwrócono mu uwagę, że opera „Fra Diavolo“, polegająca, jak wiadomo, na komiźmie tekstu, traci wiele na tem, że soliści śpiewają po włosku, oświadczył z gniewem: „Jeżeli to się Warszawie nie podoba, to każę natychmiast chórom śpiewać równie po włosku“. Ten pan wstrzymał wystawienie „Hrabiny“ Moniuszkowskiej, za to serdecznie popiera operetkę, a u jednej z diw, znanej z zeszłorocznej dłuższej gościny we Lwowie, mile spędza wieczory. Otóż w takiem otoczeniu ks. Imerytyńskiemu duszno. Miarę jego niezadowolenia przepełniła wiadomość pism zagranicznych, odsłaniająca istnienie w Warszawie politycznego salonu rosyjskiego, w którym kują się projekty w duchu polityki Hurkowskiej i utrzymują stosunki bezpośrednie z Pobiedonoscewem i Wannowskim, ministrem wojny. Salon ten pomiędzy innemi sprowadził do Warszawy w 6 godzin po awanturze studenckiej w uniwersytecie Apuchtina, mieszkającego w gubernii grodzieńskiej. Ten dymisyonowany kurator rozpoczął agitacyę między profesorami w sposób czysto dyktatorski. Gdy jenerał Onoprienko, pomocnik generał gubernatora do spraw policyjnych, a więc człowiek stojący na tem stanowisku, na którem był dawniej naczelnik żandarmeryi generał Brok, zaraportował księciu przyjazd Apuchtina, książę Imerytyński rzekł te słowa:

— Mógłbym tę kanalię okuć w kajdany i wysłać żandarmami z Warszawy, ale dalibóg, brak mi już sił. Za stary jestem i za spokojny na to, abym w najdrobniejszej sprawie walczył z *kramołą* (ze spiskiem), bo widzę kramołę na całej linii od (ministra spraw wewn.) Goremykina i Pobiedonoscewa aż do komisarza policyi.

Jako na jedyny przeciwważnik tym reakcyjnym zachciankom „salonu“, zdobył się książę na powołanie reprezentantów społeczeństwa na naradę w sprawie uniwersyteckiej. Ale cóż mogły znaczyć opinie ugodowców: Górskiego, Kłobukowskiego, dra Baranowskiego, jakoteż redaktorów Nowodworskiego i Libickiego wobec reakcyjnego usposobienia profesorów!

Nic zatem dziwnego, że staremu księciu ciężko było w Warszawie i że jego frazes, wyrzeczony do jednego z magnatów polskich: „oprócz cara i mnie nie macie więcej przyjaciół w państwie“ nabiera prawdy i siły.

Partya rewolucyjna w Rosyi, drzemiąca poniekąd od czasu wstąpienia na tron Mikołaja II, korzysta obecnie z opozycyjnego stanowiska narodowców (Pobiedonoscewa *et consortes*).

Ma więc car przed sobą następującą alternatywę: albo ewentualność rewolucyi pałacowej, która może jeszcze nie dojrzała, bo książę Włodzimierz, trzęsący dworem, przy całej reakcyjności swoich poglądów, jest przecież człowiekiem rozważnym — albo rewolucya narodowa, która w tym układzie stosunków jest tem niebezpieczniejszą, że grozi zaczepieniem o armię. Młodzieniec więc na tronie w obawie po prostu o życie, skłania się do rady idącej z Londynu i Kopenhagi: nie drażnić opozycyi i zaniechać zamierzonych reform liberalnych“.

Chyba pomyłka. Z powodu artykułu, zamieszczonego w onegdajszym numerze *Przeglądu* pod powyższym tytułem, otrzymaliśmy od p. Wincentego Barczewskiego, geometry miejskiego urzędu budowniczego, list, w którym nas upewnia, że cyfry przez niego przytoczone, podane mu zostały przez szefów urzędów pomiarowych, mianowicie przez pp. Ottsen'a w Berlinie, Abendrotha w Hannowerze i Stück'a w Hamburgu, z których ostatni, staruszek 70 letni, na polu swej działalności, położył tak olbrzymie zasługi dla miasta Hamburga, że co najmniej z tego tytułu nie można wcale wątpić w daty przez niego przytoczone. List swój kończy p. Barczewski uwagą, że kto mu nie wierzy, ten może spróbować nabyć w Berlinie grunt budowlany w pobliżu zamku cesarskiego lub rezydencyi arcyksiążęcych po cenie niższej od 10.000 marek za metr kwadratowy.

My ze swej strony musimy znowu zrobić uwagę, że nie wątpimy, iż w pobliżu zamku cesarskiego nie można nabyć gruntu, nawet po cenie 10.000 marek za metr kwadratowy, a to z tej prostej przyczyny, że grunta te nie są przeznaczone na sprzedaż. Gdyby n. p. ktoś u nas chciał postawić kamienicę na środku placu Maryackiego i ofiarował po kilka tysięcy reńskich za metr kwadratowy, miasto nie zgodziłoby się na to — a przecież z powodu takiego wypadku, trudno byłoby twierdzić, że we Lwowie grunta są tak drogie, że za miejsce pod zwykłą kamienicę trzeba zapłacić pięć milionów reńskich.

Poświęcenie kościoła. Z Kołomyi piszą nam: Przeszłej niedzieli odbyła się u nas uroczystość poświęcenia kościoła OO. Jezuitów, której dokonał w asystencyi licznego duchowieństwa miejscowy proboszcz ksiądz Pawłowski W podniosłej tej uroczystości wzięły udział nieprzeliczone masy ludności przybyłej z rozmaitych stron z procesyami, jak niemniej cała miejscowa i okoliczna inteligencya.

Wspaniałą tę świątynię, która jest prawdziwą ozdobą naszego miasta dźwignęli OO. Jezuici w przeciągu jednego roku z prawdziwem poświęceniem i wysileniem całej energii, a zasługa ich tem większa, że musieli walczyć z osobami jawnie przeciwko nim agitującemi. Dość przytoczyć taki przykład: Gdy do pewnej tutejszej instytucyi finansowej przybyli górnicy z Myszyna, celem podjęcia złożonych tamże pieniędzy, aby je ofiarować na dokończenie budowy kościoła, urzędnik zajęty w tym dziale, jakkolwiek sam chrześcijanin, począł przybyłym górnikom w obecności swoich kolegów innowierców doradzać w nader rubaszny sposób, by tych pieniędzy na powyższy cel nie przeznaczali, nazwawszy ich przy tem waryatami. Potrzebę drugiego kościoła w Kołomyi odczuwali tutejsi chrześcijanie już od wielu lat nader dotkliwie. Tem boleśniej dotknął wszystkich fakt, że człowiek inteligentny nietylko sam wrogo przeciw własnej wierze występuje, lecz podkopuje ją także u prostaczków i naraża na pogardę u innowierców, w obec których z własnej wiary dowcipkuje.

W wigilię św. Katarzyny zwyczajnie kawalerowie wróżą sobie, która kobieta kiedyś będzie ich wybraną. W okolicy Chełma i Hrubieszowa używają do tego następującego sposobu: Od rana trzeba przestrzegać jak najściślejszego postu, nie wolno nawet kropli wody wziąść do ust. Wieczorem zjada się placek, sporządzony z łyżki mąki, łyżki wody i łyżki soli. Po spożyciu go ciekawy kładzie się spać. Sól spożyta naturalnie wywołuje szalone pragnienie, lecz pić wody nie wolno. Otóż ta kobieta, która w marzeniach sennych spragnionemu poda wodę będzie kiedyś jego żoną.

Oszustwo. Z Przemyśla donoszą, że Mojżeszowi Hartowi, assesorowi handlowemu przy sądzie obwodowym i dostawcy żywności dla wojska, wytoczono śledztwo sądowo-karne z powodu zbrodni oszustwa, popełnionego na szkodę młyna w Mikulińcach, a wynoszącego około 8000 zł. W malwersacyach dopomagali Hirtowi Małka i Samson Gottfriedowie, handlarze mąki z Przemyśla. Pan Hirt jest także radnym miasta.

Usiłowane samobójstwo wyrostka. Stanisław Zając, 12-letni uczeń 5 kl szkoły św. Anny, wypił onegdaj w zamiarze samobójczym nieco niezbyt silnego kwasu karbolowego. Gdy środek ten zaczął działać, chłopak krzyknął i rozpłakał się. Przybiegła zaraz z kuchni ciotka Zająca i spostrzegłszy flaszkę z karbolem na stole i poparzone usta chłopca, dała mu napić się śmietanki, co wywarło pożądany skutek. Po oględzinach lekarskich nieletniego desperata odstawiono do szpitala. Powodem zamachu samobójczego było posądzenie rzucone na Zająca, iż on zabrał jednemu z sublokatorów jego ciotki kilkanaście centów. Chłopca, dobrze prowadzącego się i uczciwego, tak ten zarzut zabolał, że nie pokazał się w poniedziałek po nauce wcale w domu, noc z poniedziałku na wtorek spędził podobno u stróża szkolnego, a dopiero nazajutrz ciotka odnalazła go znowu w szkole. Ze łzami w oczach opowiedział ciotce, że posądzenia o kradzież nie może ścierpieć. Przyszedłszy jednak po nauce do domu, zjadł z apetytem obiad, ale potem otworzył szafę, dobył karbolu i zażył. Życiu chłopca nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Kościotrupa mężczyzny nadzwyczaj silnie zbudowanego leżącego w ziemi już od lat przeszło stu — jak to orzekł lekarz miejski dr. Łopacki — znaleziono wczoraj podczas kopania fundamentów pod budowę oficyn pod l. 9 przy ul. św. Łazarza. Nie ulega wątpliwości, że w niniejszym wypadku natrafiono na ślad jakiejś zbrodni, której sprawca dawno już spoczywa w grobie. Kościotrupa pogrzebano na cmentarzu Janowskim.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano —3, w poł. —1 R., Bar. 761. Spada. Śnieg.

U lekarza.

Teściowa. Ratuj doktorze, mam straszne boleści, zięć mię musiał otruć.

Zięć. To fałsz, panie doktorze. Proszę natychmiast zrobić sekcyę, a przekonasz się o mojej niewinności.

Repertuar teatru. Dziś we czwartek „Cavalleria rusticana“, zakończy po raz 8-my „Córka pułku“. W piątek po raz drugi „Żabusia“, rozpocznie „Bzy kwitną“. W sobotę po południu „Kościuszko pod Racławicami“. W sobotę wieczorem „Opowieści Hoffmana“. W niedzielę po południu „Przekupka warszawska“. W niedzielę wieczorem „Sprzedana narzeczona“. W poniedziałek po raz pierwszy „Nie zginęła“, obraz historyczny w 4 aktach Edwarda Webersfelda. We wtorek po raz pierwszy „Wesołe kumoszki z Windsoru“, fantastyczno-komiczna opera w 3 aktach a 5 odsłonach, podług komedyi Szekspira, muzyka O. Nicolaia.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** Pani Zapolska likwiduje swoje nowelistyczne ruchomości i z książek, lub fejletonów dziennikarskich przenosi je na scenę, przybierając w odpowiednie sukienki, nie ze wszystkiem i niekoniecznie przystające do figury tych dzieci talentu, które gdzieindziej się urodziły, przewędrowały kawałek innego świata, a na starość docierają do końca życia przy zapalonych gromnicach teatralnych.

Z noweli przerobiona jest i wczorajsza „Żabusia“, dramat, komedya, farsa tragizująca, tragedya farsująca, co kto chce — sztuka w 3 aktach, w której właściwie akcyi nie ma żadnej, nie mniej jednak dzieją się rzeczy nie tak łatwe do opowiedzenia na szpaltach teatralnej recenzyi, choć w kółku męskiem, przy czarnej kawie i koniaku, podobnych historyi słucha się może z ciekawością, ale także nie z przyjemnością, zwłaszcza, gdy się zje dobry obiad i odprawia siestę

Żabusia to jest taka pani, która ma męża i dziecko. Oboje niby kocha, a poza domem wychodzi na takie spacery i wycieczki, gdzie uczciwość żony i honor matki rozszarpywany jest w strzępy... Kobieta ta jest przytem dziwnie głupią i posiada jedynie jakieś instynkta swawolnej samicy... Bajka dramatyczna leży w tem, że Żabusia na jednej ze swoich samiczych ekskursyi poznała się w ogrodzie botanicznym z pewnym panem Julianem w tym celu naturalnie, w jakim się zawiązują takie botaniczne znajomości.. Ten pan Julian, jak się później okazało, był narzeczonym siostry męża Żabusi, no i z tego wywiązała się burza, na której oczywiście najgorzej wyszła rodzina, bo ją pani Zapolska wyszydziła na scenie.

Komedya, jako pomysł, robi wrażenie wprost wstrętne — jako rzecz literacka i artystyczna, jest płodem nieudolnym, w którym sytuacye mające być dramatycznemi, wywołują śmiech szyderczy, co się też na wczorajszem przedstawieniu działo.

P. Zapolska chciała trochę swoją Żabusię pofarbować na ibsenowską Norę, kazała jej nawet tak samo bawić się z dzieckiem na podłodze — ale w tem ibsenowaniu Żabusia wyglądała jak Kaśka Karyatyda w jedwabnej sukni i z kwiatami na włosach posmarowanych słoniną.

Jedyną zaletą wczorajszej premiery jest poprawny język i potoczysty dyalog.

Artyści, mimo niezmiernie starannej gry, w której czuć nawet było pewne umyślne silenie się na efekta, do powodzenia sztuki przyczynić się nie mogli Główne role grali pp. Chmieliński, Siennicka, Bednarzewska i Kwiecińska; mniejsze pp. Cichocka, Jaworski, Kliszewski i Rybicka. *Iks Ypsylon.*

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 23 listopada.

(Z.). Cisza zupełna panowała dziś zarówno na naszej giełdzie jak i na zagranicznych. Aż do południa nie było u nas prawie żadnych obrotów. Nie było nawet drobnych sprzedaży walorów lokacyjnych, które ostatnimi czasy tak dobroczynny wpływ wywierały na tendencyę. Dopiero między godziną pierwszą a drugą ożywił się cokolwiek targ, zrobiono kilkanaście transakcyi, ale przeważnie tylko w alpinach i w akcyach tytoniowych. — Drożyzna gotówki w Berlinie i wielkie jej zapotrzebowanie przez firmy tamtejsze podniosło kurs monet złotych i nietylko zamknęło zupełnie przypływ złota do naszej monarchii, ale sprawiło, że od kilku dni odpływa ono za granicę.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 354.75, węgierskie 388 —, Anglobanki 162.25, Uniony 293·—, Bankvereiny 253·—, Länderbanki 221·50, Ludwiki 212·50, Czerniowieckie 292·75, Elbethale 260·—, Renta papierowa 102·40, srebrna 102·40, austryacka złota 122·70, austr. renta wal. kor. 102·30, węgierska złota 122·35, węgierska renta wal. kor. 100·05, dukat 5·67, 20 frankówka 9·54—, marki 11·77—, ruble 1·28½.

§ **Ceny zboża. Wiedeń** 23 listopada. Pszenica na wiosnę 11.98—12.—, żyto na wiosnę 8.92 do 8.93, owies na wiosnę 6.84—6.86, kukurudza na listopad 5.60—5.65, na maj-czerwiec 5.79 do 5.80, rzepak na styczeń-luty 14.05—14.15.

Wiedeń 24 listopada. Pszenica na wiosnę 11.96—11.98, żyto na wiosnę 8.89, owies na wiosnę 6.85—6.87, kukurudza na listopad 5.60 do 5.65, na maj-czerwiec 5.79, rzepak 14.05 do 14.15.

Spirytus na grudzień 18.90—19.10.

§ **Lwowskie Towarzystwo akcyjne browarów.** Dnia 23 b. m. odbyło się w gmachu galicyjskiego Banku kredytowego w obecności komisarza rządowego c. k. radzcy Namiestnictwa Piwockiego, ukonstytuowanie spółki akcyjnej pod firmą: „Lwowskie Towarzystwo akcyjne browarów“.

Do Rady zawiadowczej zostali wybrani pp. Leopold Baczewski, Jerzy Klein, Emil Jampoler, Filip Jampoler, dr. Zdzisław Marchwicki, dr. Szymon Schaff i dr. Edward Stroynowski.

Na rewidentów powołano pp. Michała Majewskiego, dr. Maryana Lewakowskiego i jako zastępcę rewidenta p. Wiktora Terleckiego.

Dyrektorami Towarzystwa zostali mianowani pp. Robert Klein i Juliusz Klarfeld.

Lwowskie Towarzystwo akcyjne browarów działalność swoją rozpoczyna z dniem 1 stycznia 1896.

§ **Z kolei.** Z dniem otwarcia ruchu na kolei wązkotorowej Łupków-Cisna, otwiera się przystanek Nowy-Łupków, położony między stacyami Łupkowem a Komańczą przy km. 18·6 szlaku kolejowego Mezö-Laborcz-Przemyśl dla ruchu osobowego i pakunkowego. W przystanku Nowym Łupkowie zatrzymywać się będą po jednej minucie pociągi osobowe Nr. 2015 i 2016, wskutek czego z dniem otwarcia tego przystanku rozkład jazdy wyż wymienionych pociągów, zmieni się między Łupkowem a Mokrem szlaku kolejowego Mezö-Laborcz-Przemyśl. Sprzedaż biletów i ekspedycya pakunków odbywać się będą w przystanku.

Telegramy Przeglądu.

Wiedeń 25 listopada. Komisya wojskowa delegacyi węgierskiej przyjęła extraordinarium wydatków na wojsko i wszystkie kredyty dodatkowe. Na zapytanie del. Bolgara co do ulepszeń w artyleryi, odpowiedział minister wojny Krieghammer, że ulepszenia wprowadzone w artyleryi polnej pozwolą osiągnąć o wiele większą niż dotąd szybkość ognia działowego. Na inne zapytanie tego delegata, w którem mieście ma być założona nowa artylerzyjska szkoła kadetów, odpowiedział minister, że co do wyboru miejsca decydującym będzie w pierwszym rzędzie wzgląd na to, gdzie będzie najbardziej dostępnym materyał, potrzebny dla nauki artylerzystów.

Następne posiedzenie komisyi odbędzie się w niedzielę po południu.

Wiedeń 25 listopada. O przebiegu wczorajszych awantur w parlamencie donosi *Fremdenblatt* co następuje: Po pierwszej pauzie starało się wielu posłów z prawicy zepchnąć Wolfa z trybuny prezydyalnej, skutkiem czego przyszło do gwałtownej sprzeczki między Wolfem a Brzeznowskim i Pospischilem. Do bójki jednak wtedy nie przyszło, gdyż zapobiegli temu posłowie z prawicy. — Pfersche sam rzucił się w zbity kłąb posłów przed stołem prezydyalnym, odepchnięto go jednak i naciskano ze wszystkich stron, poczem on wyjął scyzoryk i zawołał do stojących w pobliżu posłów z prawicy: „Ustąpcie się, bo inaczej przebiję kogoś. Rozpłatam wam brzuchy“.

Później usprawiedliwiał się Pfersche, że dla tego tylko wydobył scyzoryk, bo go strasznie ściśnięto i czuł się zagrożonym. Twierdzeniu Pferschego, jakoby go duszono za gardło, zaprzecza *Fremdenblatt* kategorycznie. Nikt nie dusił Pferschego, tylko radzca dworu Suklje schwycił go silnie za rękę w przegubie tak, że nie mógł nią ruszyć i wtedy inny poseł wyrwał mu nóż. Podczas tego epizodu sam Suklje znalazł się w wielkich opałach. Schönerer dwa razy chciał rzucać fotelem ministeryalnym na posłów z prawicy, ale wyrwano mu go, przyczem przyszło do gwałtownego szamotania się między konserwatystą niemieckim Hagenhoferem a Schönererem. Kilkudziesięciu posłów zapewnia, że Wolf zawołał do jednego z członków katolickiego stronnictwa ludowego: „Na następne posiedzenie przyniesiemy nasze rewolwery i wystrzelamy was, hołoto“.

Wiedeń 25 listopada. Wszystkie dzienniki konstatują zgodnie, że poseł Pfersche, podczas wczorajszego szamotania się, groził posłom z prawicy otwartym scyzorykiem, a nie zamkniętym.

Konstantynopol 25 listopada. Dziś lub jutro odbędzie się uroczystość salutowania flagi austro-węgierskiej w Mersinie, jako zadośćuczynienie za znane zajście z Brazzafolim. W uroczystości tej wezmą udział dostojnicy tureccy w mundurach galowych i oddział wojska z muzyką. Wojsko będzie prezentowało broń przed zatkniętą na konsulacie austryackim flagą, a kapela zagra hymn austryacki. Jako delegaci ambasady austryackiej fungować będą oficerowie torpedowca austryackiego „Leopard“.

Bukareszt 25 listopada. Dziś o godzinie ¾ na 2 w nocy dały się tu uczuć dwa silne wstrząśnienia ziemi, lecz nie zrządziły żadnej szkody.

Jekaterynosław 25 listopada. Na stacyi Szarówka wjechał pociąg osobowy na pociąg towarowy. Wagon pocztowy, jeden wagon towarowy i kilka osobowych jest pogruchotanych. Czterej podróżni ciężko pokaleczeni, dwaj urzędnicy pocztowi lekko.

Konstantynopol 25 listopada. Z Belgradu i Sofii nadeszły tu doniesienia, że sytuacya w Ipeku i okolicy jest groźna i dlatego wysłano tam znaczne oddziały wojska.

Paryż 25 listopada. Cesarzowa austryacka przybyła tu dziś rano o godzinie 7 minut 25. Na dworcu kolei wschodniej zebrała się dość liczna publiczność, która witała Cesarzową z uszanowaniem. Cesarzowa zabawiła na dworcu przez dwie godziny, poczem pojechała dalej do Biarritz.

Paryż 25 listopada. Prezydent Faure odwiedził Cesarzowę austryacką dziś o godzinie 9-tej rano na dworcu kolei Orleańskiej, przepędził z nią kwandrans na rozmowie w sali poczekalnej, poczem odprowadził ją do wagonu i pożegnał ucałowaniem ręki.

Mersina 25 listopada. Dziś odbyła się uroczystość salutowania flagi austryackiej przez wojsko tureckie. Reprezentanci kolonii austro-węgierskiej udali się do konsula z prośbą, aby złożył Cesarzowi Franciszkowi Józefowi podziękowanie całej kolonii za skuteczną opiekę, jakiej jej użyczył.

HOTEL ŻORŻA

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 25 listopada. K. Kobrzyniec z Wysokiego litewskiego. J. Malczewski z Schodnicy. St. Dr. Stojałowski z Tarnowa. F. Sozański i S. Sozański z Hordyni. S. Wyspiański z Drohobycza. S. Tostanowski z Podmichałowic.

HOTELE K. JANOWICZA

BELLEVUE i METROPOL

we Lwowie.

Przyjechali dnia 25 listopada. J. Byk z Czerniowiec. G. Lomer z Lipska. D. Bursztyn z Prośnitz. E. Robinsohn, T. Lewith, F. Sternberg z Wiednia. A. Flamm i V. Vogt z Bielska. D. Hartenstein z Nadwórny. N. Gartenberg z Drohobycza. S. Ruff z Dobruszka. S. Dzieńdzielewicz z Suczawy.

HOTEL FRANCUSKI

we Lwowie, plac Maryacki

W nowym zarządzie, zupełnie odnowiony

(F. C. Proksch)

Przyjechali dnia 25 listopada. P. Dembiński z Krynicy. P. Śliwińscy z Schodnicy. T. Link z Chodorowa. P. Rosenthalowa z córkami z Brodów. J. Kriegshaberowie z Iwaczowa. A. Weinberger z Węgier. J. Bube z Hanau. P. Majewscy z Stanisławowa. J. Nordegg z Hamburga. J. Gawlitza, A. Butz, J. Geldblat, O. Weinrich i A. Hoppe z Wiednia. P. Niwicki z Bortnik. H. Rucińska z Hrebenowa.

Lwów 25 listopada. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 211.50 do 214.50. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 291 — do 295.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 385.— do 395.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 255.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic, 4 proc. los. w 40 lat a 10 proc. prem. 110.— do 110.70. 5 i pół proc. los. w 50 lat 100.10 do 100.80, 4 proc. los w 60 lat 96.60 do 97·30. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.70 do 101.40, Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.— do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 98·— do 98.70, 4 proc. los. w 48 i pół latach 97.20 do 97·90, 4 proc. los. w 56 lat 96.40 do 97.10.

Obligi za 100 zł.. Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 97·80—98.50. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —.—, Kom. Banku kraj 5 proc. (II emisyi) 100.10 do 100.80, Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97.50 do 98.20, Pożyczki kraj. 6 proc. 108.— do —.—. 4 proc. z 1891 r. 97.80 do 98.50, 4 proc. po 200 koron z 1893 roku 96.50 do 97.20.

Monety. Dukat cesarski 5.63 do 5.78. Napoleondor 9.48 do 9.58. Półimperyał 9.48 do 9.58. Rubel rosyjski papierowy 1.27·80 do 1·28·80. 100 marek niemieckich 58.75 do 59.20.

4)

BEZ BOGA

(THE MIGHTY ATOM)

przez

MARYĘ CORELLI.

Przetłómaczyła z angielskiego Eugenia Żmijewska.

(Ciąg dalszy).

Dzięki jego gorliwym staraniom ścieżki zostały wygracowane, nie mógł on sobie jednak poradzić z drzewami, które, nie ujmowane w karby przez lat wiele, rosły sobie, jak im wskazywała natura.

Ten zapuszczony ogród miał widocznie urok dla pani Valliscourt, przesiadywała w nim bowiem dniami całemi. Mąż dojrzeć jej teraz nie mógł w głębi cienistych alei. Po dłuższej dopiero chwili, przy oknie, zabrzmiała nucona półgłosem piosenka — „O wesołej cygaa-ne-ryi."

Chłodna twarz Valliscourta nabrała sroższego jeszcze, wzgardliwego niemal wyrazu.

— Ta kobieta urodziła się na śpiewaczkę *tingel-tanglu* — myślał ze wstrętem niemal — posiada wszelkie do tego dane. I pomyśleć, że jest jednak bardzo dobrze urodzoną i wychowaną! — Co za potworna anomalia!

Z całych sił okno zatrzasnął; zabrawszy pudełko cygar, poszedł do swojego *smoking-roomu* i zatopił się w lekturze najnudniejszej ze swoich nudnych gazet.

ROZDZIAŁ III.

Nazajutrz, pomiędzy szóstą a siódmą, mały Lionel Valliscourt był już ubrany i siedział w swojej sypialni, z czapeczką w ręku, czekając na pana Montrose. Miał odprowadzić swojego drogiego przyjaciela do dyliżansu Taka wycieczka poranna uśmiechała mu się bardzo.

Dzień był śliczny, ptaszki śpiewały wesoło. Wrażliwa duszyczka chłopca wahała się pomiędzy smutkiem a radością: smutkiem, że traci ukochanego nauczyciela, który, jedyny z pośród licznych jego przewodników, współczuwał jego dziecinnej niedoli — radością zaś, że może wykraść się na ten piękny świat Boży. Toż to będzie uciecha.

W jego główce powstał zamiar, o którym nie wspomniał panu Montrose ani słowem: chciał uciec na cały dzień. Wiedział, że nie będzie lekcyi aż do przybycia nowego nauczyciela, a profesor Cadman-Gore przybywa dopiero o dziesiątej wieczorem.

Lionel miał więc przed sobą dzień cały, dzień długi, piękny, słoneczny, to też postanowił używać go całem sercem. Zamiar ten zrodził się z instynktownej żądzy nietylko swobody, ale i spokoju.

Przez całą noc o tym swoim projekcie myślał, przypatrywał mu się ze wszystkich stron i nie dopatrzył w nim nie złego.

Ani ojciec, ani matka nie widywali go przed obiadem — cały dzień spędzał przy nauce.

Lecz oto teraz, przez kilka godzin był bez nauczyciela, czemużby więc ze sposobności nie korzystać?

Roztrząsał jeszcze to zagadnienie, gdy do pokoju wszedł Montrose z kuferkiem w ręku.

— Chodź, mały — rzekł. — Wszyscy śpią jeszcze nikt nas nie usłyszy. Zjemy naprzód śniadanie u miss Payne — dyliżans nie prędko nadejdzie.

Lionel aż podskoczył z radości, potem, za swoim mentorem, szedł cichutko po schodach i szczęściu swemu wierzyć nie chciał, gdy się zamknęły za nimi drzwi od sieni i znaleźli się w ślicznym cienistym ogrodzie.

— Ja panu pomogę nieść kuferek, ja mam dość siły — szepnął.

— Nie podołasz — odparł Montrose z uśmiechem. — Daj pokój. Ot, nieś sobie Homera.

Lionel wziął księgę w wytartej, skórzanej oprawie i trzymał ją oburącz z wielkim szacunkiem.

— Czy pan będzie znowu uczył takiego drugiego chłopaczka, jak ja? — pytał.

— Nie tak prędko jeszcze. A wątpię, czy w ogóle znajdę takiego drugiego. Jak ci się zdaje?

Lionel zamyślił się.

— Nie wiem — rzekł wreszcie. — Ale i ja wątpię. Bo to, proszę pana, jak się jest jedynakiem, to trzeba być innym od reszty chłopców: trzeba być rozumnym za kilkoro. Gdybym miał ze trzech braci, to mój ojciec chciał by każdego z nich zrobić mądrym i we mnieby całej nauki nie wlewał. Ja sobie tak nieraz myślę, proszę pana.

— Tak myślisz — Mówił Montrose, przyglądając się ze współczuciem jego wątłej figurce — Sądzisz, że twój ojciec chce z ciebie wycisnąć ekstrakt mózgowej produkcyi, którąby można, w mniejszych dozach, obdzielić nieistniejące rodzeństwo. Kto wie, czy on istotnie do tego nie dąży.

— Ma się rozumieć, że dąży — zapewniał Lionel uroczyście. To nawet naturalne. Jak się ma jednego syna, to się po nim dużo spodziewa!

— Za dużo — pomyślał Montrose, a głośno dodał: — No, chłopcze, nie masz się czem frasować, uczysz się łatwo i umiesz dwa razy więcej, niż ja w twoim wieku, ja. który w szkole w Inverness od rana do wieczora biłem się z kolegami.

Zaśmiał się tak wesoło, że i Lionel mu zawtórował. Wydało mu się tak zabawnem bić się od rana do wieczora.

— I o co się pan tak ciągle bił? — pytał ciekawie.

— O byle co, każdy powód był dla mnie dobry. Jak mi się zdawało, że jakiś człowiek ma nos za długi, to mu dawałem szczutka, i zaraz wywiązywała się bójka. To były dopiero czasy wspaniałe!

— Ja się nigdy z żadnym chłopcem nie biłem — szepnął Lionel — nie miałem nigdy z kim się bić...

Montrose rzucił okiem na chłopca i wesołość jego pierzchła odrazu.

— Słuchaj — rzekł poważnie. — Masz język w gębie, przy pierwszej sposobności proś ojca, żeby cię posłał do szkoły. Powiedz, że to twoje marzenie, proś go, jak gdyby chodziło o życie. Z tem, co umiesz, odrazu się wśród innych wyróżnisz, a wtedy będziesz szczęśliwy całą gębą, szczęśliwy od rana do wieczora. Będziesz miał z kim się bić, kogo zwyciężać — bić się, to prawo świata, mój chłopcze, a kto umie się bić, ten zwycięża. Lecz trzeba się do tej roboty wcześnie zaprawiać, bo przy wprawie jedynie do doskonałości się dochodzi. Powiedz twojemu ojcu — a także i owemu profesorowi, który ma objąć moje miejsce — powiedz im, że chcesz koniecznie pójść do szkoły — do Eton, Harrow lub Winchester — z każdej wychodzą ludzie, nie manekiny.

Lionel patrzał na swego mistrza z zakłopotaniem.

— Tak, powiem — rzekł wreszcie — ale to się na nic nie zda, ojciec słuchać o tem nie zechce. Wszak chłopcy ze szkół publicznych chodzą do kościoła? A pan wie przecie, że mnie na to nigdy nie pozwolą.

Montrose umilkł i w milczeniu doszli do chatki miss Klaryndy Cleverly Payne. Na progu stała niemłoda osoba w białym czepeczku i sukni liliowej.

— Dzień dobry panu, dzień dobry, master Lionel! — zawołała — A to się dobrze składa! Kura zniosła świeże jaja, jakby dla panów. Mój Boże, gdyby to ludzie tak spełniali swoje obowiązki, jak kury, dobrzeby to było na świecie! Proszę panów, stół już nakryty, zaraz będzie jajecznica. Przyniosę świeżutki plaster miodu. Nie ma jak miód devoński... chyba tylko nasza śmietana mu dorówna. A będziecie jej mieli w bród. Paniczyk to się zapewne smuci, że taki dobry profesor odjeżdża... co?

— O tak, bardzo się smucę — rzekł Lionel, zdejmując czapeczkę i patrząc w poczciwą, opaloną twarz Klaryndy. — Ale na co się zda smutek? Pan Montrose musi odjechać, a ja muszę zostać — i choćbym przez cały rok nad tem biadał, czy to co pomoże?

— Naturalnie, że nie — przytwierdziła miss Payme, spoglądając ze szczerem współczuciem w oczęta, które na nią tak smutnie patrzały. — Ale nie każdy tak sobie potrafi wykalkulować — nie wszyscy tacy rozumni, jak panicz.

— Ja nie jestem wcale rozumny, ja jestem obładowany rozumem — odparł gorzko Lionel.

— Co panicz chce powiedzieć? — zawołała Klarynda.

— Chce powiedzieć to, co mówi — tłómaczył Montrose. — Gdyby panią uczyli tego wszystkiego, co Lionela...

— Gdyby mnie uczyli! — przerwała miss Klarynda z uśmiechem szyderczym. — Dziękować Bogu, mnie nikt mądrych rzeczy nie uczył. Umiem pracować, żyć uczciwie, długów nie robić — to mi wystarcza. Nie mogę patrzeć na tych chłopców, snujących się z książkami i kajetami pod pachą. Niegdyś, dawno bardzo, moja siostrzenica Zuzia dostała od jednego z nich jakąś książkę; to, proszę pana, jak zasiadła do czytania, to wykipiała śmietanka, a ona nic. tylko czytała. Innym razem niosła tuzin świeżutkich jaj w fartuchu, szła z niemi jak senna — że to jej po głowie chodziły głupstwa książkowe — toż i bęcła na ziemię; jaja, naturalnie, na nic, jeszcze fartuch się zawalał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka, hotel Zorza; Zarządca W. Hodek.